Cena 60 gr.

MÓJ PRZYJACIEL



ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

MAJ 1927

№ 4.

ROK IV.

Treść:

MÓJ PRZYJACIEL

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

Rok IV. Warszawa, w maju 1927 Nr. 4.

Witaj jutrzenko swobody!

Cóż to za gwar i ruch niezwykły na Krakowskiem Przedmieściu? Co za wypadek doniosły ma się zdarzyć, że podniecenie dziwne na ulicach miasta widzieć się daje? Czemuż to sklepy, ledwo otwarte, z trzaskiem się hałaśliwie zamykają, w oknach zaś ukazują coraz to inne, rozgorączkowane twarze, by niespokojnie w stronę Zamku się zwrócić? Cóż to za dzień i co za chwila, że wojsko szeregami na Krakowskiem się ustawia, a tłumy wielkie zaczynają napełniać ulice?

To 3 maj 1791 r.

Coraz to większa ciżba sunie w stronę Zamku. A dojrzysz tam wyniosłych magnatów i złotem strojnych, a suto przybranych mieszczan i lśniących barwnemi strojami — włościan. Poważne, godnością urzędu tchnące, twarze radców miasta górują nad tłumem; cechy i bractwa, z podniesionemi wyniośle chorągwiami i godłami, posuwistym znaczą bruki krokiem — a wszyscy niespokojni tacy, wyczekujący, zda się, odpowiedzi jakiejś ważkiej na tajemne, duszę wypełniające pytanie.

Ciężkich dział kilkadziesiąt na dziedzińcu zamkowym stojących, dziwne niecą wieści wśród ciżby: ten i ów, pochylając się do ucha sąsiada, o jakowejś rewolucji napomyka, tamten o buncie, trzeci zasię, o nowej a straszliwej ustawie. Tymczasem tłok coraz to większy się staje. Już i dziedzińce pełne, i sienie, i przedsionki zamkowe szczelnie natłoczone, a o dostaniu miejsca w sali posiedzeń mowy być nawet nie może. Stają tedy tysiączne postaci, z ladajakich miejsc swoich rade, a kołysząc się jeno zwolna, głowy na wsze strony pochylając, czekają na jakieś wielkie a nieznane jeszcze „Coś“...

W sali tymczasem, za zbliżeniem się 11-ej godziny, niepokój i oczekiwanie niepomiernie wzrasta. Jeszcze chwil parę, a oto i król, Stanisław August Poniatowski, w mundurze korpusu kadetów, poprzedzany licznym dworem, majestatycznym krokiem wkracza na salę, tuż zaraz za czterema nadwornymi marszałkami, niosącymi laski hebanowe, herbami lśniące.



3 Maj 1791 *Fragment z obrazu Matejki*

Chylą się głowy, biją tętnem przyśpieszonem serca, lśnią oczy, wyciągają się ręce...

Garść jeno nieufnych, moskiewskich zauszników i przyjaciół, zdaje się nastroju ogólnego nie dzielić.

Cisza ciężka a przytłaczająca pada na tłum. Niepokój zaś i oczekiwanie

wzrastają więcej jeszcze po słowach poważnych Sołtyka i Matuszewicza, który depesze „zagranicznych ministrów Rzeczypospolitej“ jął odczytywać. Kołyszą się jeno głowy i otwierają szeroko oczy i uszy, jakoby w przedchwili ważnych, ozwać się mających prawd.

(...A cóż Ci to, Mości panie Suchorzewski, że zrywasz się nagle, zrzucasz order św. Stanisława, od tygodnia zaledwie piersi Twe przystrajający, a miotając się po ziemi, głosem rozpacznym wołając, do słowa pragniesz być dopuszczony?

...Tak że Ci to żal owej złotej wolności braci twej szlacheckiej; tak że Ci to żal owej wolności źrenicy, owej samowoli rozwiązłej, ku upadkowi Ojczyzny wiodącej?

... Cóż to, że bohatera z siebie czyniąc, każesz po swym trupie do bram wolności istotnej się zbliżyć, że syna zabić się ofiarowujesz, by na zgon samowoli nie patrzył?

... Cóż że to, panie pośle kaliski, że spora nawet garstka opowiada się za Tobą, gdy oczy tysiącznej większości z pogardą patrzą na was, a docinki zajadłe na wasze spadają głowy?).

A gdy Potocki owe słowa pamiętne: „Dozwól, wielki Boże, abyśmy dobro Rzplitej ustanowili, a do nieprzyjaźni prywatnych nigdy nie wracali“ — wypowiada, entuzjazm porywa obecnych.

(... Cóż że to Imci Panowie Złotniccy, Ożarowscy, Korsakowie i inni — wszakże niezadowolenie wasze serc tysięcy nie zmieni i zapału niewstrzymanych uczuć nie pohamuje? Stój spokojnie, miotający się, pośle kaliski...).

Oto bowiem król Stanisław, narówni z ludem swym oczekujący i niespokojny, odczytania projektu Nowej Ustawy nagle się domaga. Zatrzęsła się wnet sala od okrzyków gorących: „Prosimy! Prosimy!“ i umilkła, gdy sekretarz sejmowy, Siarczyński, jął czytać 12 artykułów, mających zburzyć dawny porządek i życie nowe wprowadzić.

Cisza była wielka. Tem się silniejszy wzbił, po przeczytaniu, głos tłumu i niósł dalekie echo na sienie i dziedzińce zamkowe, by powtórzonym zostać przez ciżbę, poza obrębem sali zebraną.

Siedmiogodzinna walka coraz zaciętsza i ognistsza się staje, wreszcie zmęczone naprężeniem myśli i uczuć postaci, nie zważając na nieliczną garstkę opozycji, z miejsc się swoich zrywają, ku tronowi cisną, zostawiając za sobą skargi rzekomej krzywdy, która się panom Suchorzewskim stać miała.

Nad miotające się, oburzeniem roznamiętnione i wrzaskliwe głosy żalu i gniewu onych obrońców praw starych, wzbija się powszechny niemal, tysiączny, z głębi serc wyrwany okrzyk: „Wiwat król! Wiwat nowa konstytucja!“

Gdy zaś, na dwukrotne pytanie Wielkiego Marszałka Sejmu, naród zgodę swą i przyzwolenie na Nową Ustawę w większości znacznej wyraził, stanął król na krześle tronowem, by tem się widoczniejszym uczynić, i jął głosem wzruszonym, lecz radosnym rotę przysięgi za Tarskim, biskupem krakowskim, powtarzać.

A potem ruszyły tłumy za królem do katedry św. Jana, by tam przed Bogiem powiedzianą przysięgę raz jeszcze usłyszeć i Boga strażnikiem Nowej Konstytucji uczynić. A okrzyki radością wezbrane, niewstrzymaną siłą z dusz płynące, wyprowadziły potem z katedry monarchę i marszałków i wwiodły ich zpowrotem do sali posiedzeń, by Nowa Ustawa została tego jeszcze dnia podpisana. Gdy zaś, po dawno już zapadłym zmierzchu, wyszli marszałkowie z pałacu radziwiłłowskiego— odprowadzały ich tłumy olbrzymie do domów, chorągwiami i godłami, wysoko wzniesionemi, drogę im upiększając i okrzykami niemilknącemi ślad znacząc. Dopóźna jeszcze w noc na dziedzińcu pałacu saskiego słychać było radosne okrzyki: „Niech żyje następca tronu, elektor saski!“ Rozentuzjazmowane miasto zdało się nie przewidywać mających rychło nastąpić nieszczęść, zgon ojczyzny mieszczących w sobie — serca bowiem ludności tętniły w tym dniu, pamiętnym dniu 3-Maja, jednym, nadzieją brzemiennym okrzykiem:

Witaj Jutrzenko Swobody!

Ze świata

Z płonącego Wschodu.

Rycina przedstawia fragment pociągu pancernego, dowodzonego przez pułkownika b. armji carskiej Kotlarowa. Pociąg ten bronił tyłów armji północnej podczas ewakuacji Szanghaju.

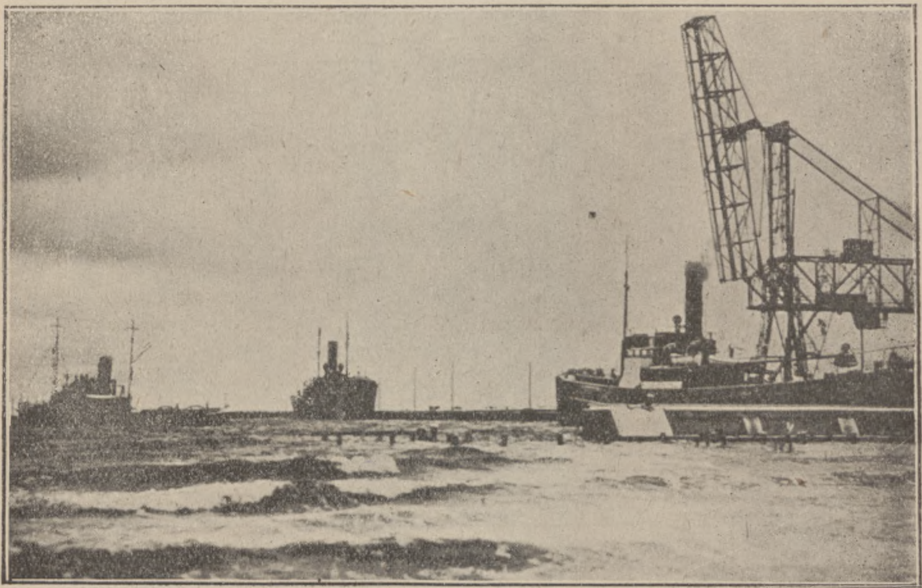
Pies „Zo", ulubieniec załogi-rosjan i chińczyków, brał udział we wszystkich bitwach pułku.





Podróżujący królewicz. Angielscy królewicze przez cały rok podróżują, przeważnie po dominjach brytyjskich. Na ilustracji widzimy księcia Yorku z małżonką, w towarzystwie naczelnika szczepu tubylczego w Nowej - Zelandji.

Nasza flota.





Młoda polska bandera handlowa od niedawna powiewa na dalekich morzach, roznosząc chwałę imienia polskiego.

Ryc. 1 przedstawia statki: „Wilno", „Kraków" i „Poznań" w chwili ich odjazdu z Gdyni do Calais i Norkeeping.

Ryc. 2. Kapitan Stankiewicz, komendant statku „Wilno".

Święte słonie Sjamu.





Kiedy urodzi się biały słoń—wielka radość panuje wśród Sjamczyków. Dobry to bowiem (według dawnych wierzeń) znak dla króla, któremu zwierzę niezwłocznie winno być przedstawione, z zachowaniem wszystkich uroczystych, dworskich ceremonij.

Sjamczycy uważają białe słonie za zwierzęta, przynoszące nadzwyczajne szczęście! W 16 stuleciu panowała tam nawet zacięta, dziesiątki lat trwająca wojna o posiadanie świętego słonia. W wojnie tej postradało życie i mienie wiele tysięcy ludzi.

Ilustracje.
U góry. Uroczyste wkroczenie świętego „Bobo" do Chiengmai (Sjam).
Na prawo. Święty, biały słoń, czysto wymyty i przystrojony kwiatami, ze swą matką.



Oryginalna rozrywka.

Na jednem z zebrań towarzyskich, w pałacu bogatej amerykanki w Pittsburgu, udało się młodemu człowiekowi w smokingu, cylindrze na głowie i z papierosem w ustach przepłynąć sadzawkę na gumowym „potworze morskim" ku uciesze zgromadzonych gości.

Podniebnym szlakiem.

(13.000 metrów nad ziemią!)

Grubość warstwy powietrza nad ziemią wynosi przeciętnie 150 kilometrów. Pobyt na takiej wysokości niemożliwy jest przedewszystkiem wskutek rozrzedzenia powietrza i wynikającego stąd zmniejszenia ciśnienia atmosferycznego: na wysokości bowiem 100 kilom. nad ziemią wszystkie arterje krwionośne pękłyby natychmiast. Atoli osiągnięte dotychczas rekordy wysokości nie stanowią bynajmniej granicy wytrzymałości organizmu ludzkiego. Przed wynalezieniem aeroplanu cel był jasno wytknięty: wierzchołek góry Everest — 8000 mtr. wysokości—był teoretycznie najwyższym punktem, dostępnym dla człowieka. Wtenczas osiągnięcie nawet takiego rekordu uważano za fizycznie niemożliwe. A oto aeroplany osiągały już kilkakrotnie wysokość prawie podwójną, a spodziewać się należy, że i te rekordy zostaną w krótkim czasie pobite.



O palmę pierwszeństwa walczą obecnie dwaj lotnicy: Francuz, porucznik Callizo, i Amerykanin Macready. Ostatni rekord wynosi 12.500 mtr.; cyfra ta nie jest dokładnie ustalona; obydwaj lotnicy utrzymują bowiem, iż faktyczna wysokość, przez nich osiągnięta, wynosiła więcej.

Macready, który od kilku lat specjalizuje się w wysokich lotach i kilkanaście razy wzbijał się powyżej 10.000 mtr., położył na tem polu wielkie zasługi. W artykułach, dotyczących zasad aeronautyki wogóle i techniki wysokich lotów w szczególności, drukowanych obecnie w National Geographic Magazin, opisuje on niebezpieczeństwa, związane z wysokiemi lotami.

Macready rozróżnia następujące czynniki: fizyczne (utrudniony oddech, niska temperatura, ogólne osłabienie ciała), duchowe (uczucie głębokiej depresji, wywołane absolutną samotnością i „wieczną zimą" przestworzy) oraz techniczne (zmniejszenie siły nośnej powietrza, zmniejszenie siły motoru, silny wiatr doch. do 300 km. na godz.)

Lotnik musi odbywać specjalny trening, żeby zawsze pozostawać w możliwie najlepszej formie. Musi także zabezpieczyć się przed przejmującem zimnem powietrza, temperatura bowiem na wysokości 12.000 mtr. opada do 45 stopni poniżej zera (przyrządy miernicze próbnego balonu wykazały na wysokości 19.000 metrów temperaturę — 60°). To też nie dziwimy się zbytnio, że na odzież lotnika składają się: trzy pary wełnianej bielizny, zwy-

kły mundur wojskowy, wełniane palto i futro, futrzane buty, rękawiczki i czapka, wreszcie podszyta futrem i zaopatrzona w okulary maska; — pod ciężarem odzieży lotnik z trudnością się porusza. Prócz tego ma on na sobie aparat z czystym, pozbawionym zapachu, płynnym tlenem.

Przy podnoszeniu się aeroplanu wzwyż aparat ten zaczyna działać samodzielnie i wlewa w usta lotnika strumień czystego gazu, strumień, który na dużych wysokościach nabiera takiej mocy, iż literalnie rozwiera usta lotnikowi.

Wielu lotników za późno przystępuje do oddychania tlenem, czując się „zupełnie dobrze"; tkwi w tem ogromne niebezpieczeństwo. Poprostu lotnik nie dostrzega, że jego zdolność apercepcyjna powoli się zmniejsza, że proces myślowy odbywa się dziwnie powolnym, leniwym trybem; zbyt słabo reagować zaczyna na wszystko; wydaje mu się, że słońce jest zupełnie zamglone, motor przestaje huczeć; cyfry zaczyna pisać drżącą ręką: nic już wtedy nie pomoże aparat z tlenem. Za późno!

W takiej właśnie sytuacji znalazł się major armji amerykańskiej, Schroeder. Na wysokości 11.000 metrów stracił on przytomność i runął wdół wraz z aeroplanem; na wysokości 2.000 mtr. jednakże ocknął się i zdążył jeszcze szczęśliwie wylądować.

Na znacznej wysokości wydajność motoru zmniejsza się gwałtownie wskutek osłabienia ciśnienia atmosferycznego. Motor o mocy 400 H. P. na wysokości 12.000 mtr. posiada faktycznie tylko wydajność 80 H. P. i nie może już udźwignąć ciężaru aeroplanu. Wysokość lotu, a więc i rekordy światowe, zależą tedy przedewszystkiem od wytrzymałości motoru. W drodze powrotnej nawet przy planowaniu musi lotnik przedsięwziąć wszystkie środki ostrożności, zabezpieczające aparat przed zbyt gwałtownem przejściem w sferę normalnego ciśnienia atmosferycznego.

A kiedy wreszcie z krainy śmierci i wiecznego mrozu powróci szczęśliwie na ukochaną, zieloną ziemię—okazuje się często, że bohaterskie wysiłki jego poszły na marne, że wspaniały lot zostaje zdyskwalifikowany, z powodu uszkodzeń w przyrządach mierniczych, bądź też wskutek nagłego zachmurzenia, które ukryło lotnika przed wzrokiem urzędowych obserwatorów!

Jakiż jest cel tych wysokich lotów?

Otóż loty te mogą oddać cenne usługi przy badaniach geograficznych, a zwłaszcza kartograficznych. Z wysokości bowiem 8—10.000 mtr. można dobrze fotografować przestrzeń o średnicy 200 km. Z punktu widzenia geograficznego, bardzo ciekawem będzie zdjęcie niedostępnego dotychczas szczytu Mount Everestu. Lot nad Everestem technicznie nie przedstawia zbyt wielkich trudności, nie jest nawet zbyt niebezpieczny. Zdjęcia, dokonane z aeroplanu, dadzą o wiele lepsze pod względem naukowym rezultaty, niż — ekspedycje piesze.

Jednakże nie stronę naukową ma lotnik przedewszystkiem na względzie, podejmując wysokie, niebezpieczne loty. Najważniejszym czynnikiem jest i zawsze pozostanie — ambicja sportowa, chęć osiągnięcia najlepszego rekordu.

B.

Konie elberfeldzkie

(Z cyklu „Dziwy świata zwierzęcego").

(Dokończenie)

Krall opuścił stajnię.

„Zostałem z Mahometem — opowiada Maeterlinck — i wyznaję, iż doznałem pewnego lęku. Nieraz już czułem się swobodniejszy wobec wielkich osobistości i królów tego świata. Z kimże to właściwie miałem do czynienia? Zebrałem jednakowoż siły i wyrzekłem głośno pierwsze lepsze słowo, nazwę hotelu „Weidenhof". Powtarzałem to słowo na różne sposoby z naleganiem, groźbą, błaganiem i rozkazująco.

Wkońcu tajemniczy mój towarzysz zdecydował się usłuchać i jął płynnie a żwawo wybijać litery, które jedną po drugiej kreśliłem na tablicy:

W E I D N H O Z

Przedziwny był to wytwór ortografji końskiej!"

Uniesiony triumfem, przywołał uczony Kralla, który nawykły do podobnych „cudów" przyjął ten fakt spokojnie i zmusił konia do zmiany końcowego „z" na „f". Wbrew nawykowi opuszczania samogłosek, koń wystukał E nieme po W, gdyż było to konieczne ale następne E uznał za zbyteczne, jako zawarte już w D (de).

Mahomet zaczął okazywać w sposób wyraźny, że ma już dość ortografji. Mistrz postanowił go zabawić i wynagrodzić, przeto dał mu do rozwiązania kilka pierwiastków kwadratowych i sześciennych. Koń zabrał się do nich z widoczną radością: były to jego ulubione problemy.

Chcąc usunąć wszelkie podejrzenie, zaproponował Krall uczonemu, by ten sam ułożył zadanie i podał je koniowi do rozwiązania.

„Muszę się tu wyspowiadać z grzechu, będącego hańbą mego życia"—mówi dalej Maeterlinck — „Nie mam wyobrażenia najmniejszego o tajemnicach, ukrytych w manipulacjach tego rodzaju. Przeszedłem oczywiście jak każdy, te tortury gimnazjalne, ale nie byłem w stanie sięgnąć poza mnożenie i dzielenie w sfery górne, pierwiastków i innych potworów bez kształtu i oblicza, napełniające mnie strachem wielkim, a prześladowania mych zacnych profesorów rozbiły się o skałę mej obojętności. Zostawili mnie, pogrążonego w tępej niewiedzy, prorokując tylko, że przyszłość moja będzie straszna i przepojona wyrzutami sumienia. Dotąd nie mogłem jakoś stwierdzić owych czarnych przepowiedni, teraz atoli wybiła godzina strasznej spowiedzi błędów młodości!"

Nie dając poznać trwogi, jaka nim owładnęła, napisał Maeterlinck na tablicy pierwiastek kwadratowy z całego szeregu liczb, powiązanych ze sobą plusami i minusami, a niemożliwy do rozwiązania.

Koń ani drgnął, podniósł jeno kopyto na znak swej dobrej woli. Wówczas Krall, spojrzawszy na tablicę, zapytał Maeterlincka:

— Czy ten pierwiastek jest dobry?

„Dobry? Cóż to miało znaczyć? Więc stnieją pierwiastki złe? Nie rzekłem ani słowa, ignorancja moja zajaśniała w całym blasku. Mahomet więcej znał się na matematyce, niż ja".

Następny koń, Haenschen, mylił się bardzo rzadko, okazując zdumiewające wprost opanowanie myśli, połączone z wybuchowym temperamentem zwierzęcia. Rżał, skakał, wierzgał, zdawało się, że nie ustoi na miejscu, nie opuszczał jednak ani na chwilę deszczułki, do której wcale nie był przywiązany. Lekcja skończyła się jednak nieco zuchwałym żarcikiem ucznia, który chwycił zębami spodnie mistrza i nadszarpnął je nieźle, dowodząc braku wszelkiego szacunku.

Potem zjawił się ślepy koń — Berto. Omackiem znalazł deseczkę, na której miał wystukiwać odpowiedzi. Zaczynał dopiero naukę rachunków, a początki wykształcenia kosztowały dużo wysiłków. Mistrz musiał stukać go po boku, wtajemniczając w ten sposób w znaczenie liczb i znaków dodawania i odejmowania. Tłumaczył mu wyraźnie rozmaite łatwe operacje matematyczne: $2+3$, $8-4$, 2×3 i t. d. „Uważaj!" — mówił — „to nie znaczy $+3$, ani -3". Koń nie mylił się prawie nigdy. Nie rozu-

miejąc zadania, czekał, by mu je powtórzono lub wypisano palcem na boku, a pilność jego, przypominająca zaniedbane w nauce dziecko, miała w sobie coś wzruszającego.

Był znacznie gorliwszy i sumienniejszy od swych współuczniów i czuło się, że wśród otaczających go ciemności, poza jedzeniem, te chwile stanowiły punkt świetlany dnia.

Ale myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że dziwni wychowankowie stajni elberfeldzkich odpowiadają tylko na zadane im pytania, że nie mają potrzeby wyrażania swych myśli.

„Oto pewnego dnia — opowiada Krall — gdy wszedłem do stajni, kapryśny Zarif, niepytany przeze mnie, zaczął sam wystukiwać litery. Zostawiłem go w spokoju i usłyszałem wprost ludzkie zdanie, wystukane kopytem zwierzęcia: — „Albert wybił Haenschen". Lub innym razem: — „Haenschen ugryzł Kamę!"

Jak dziecko ojcu, opowiadał mistrzowi drobne wydarzenia, jakie zaszły w stajni, niby skromną kronikę skromnego życia bez przygód.

Krall nigdy nie bił żadnego ze swych koni z obawy, że straci ich miłość i zaufanie anielską wprost cierpliwością i napominaniem, nagradzając często marchwią lub cukrem, wydobywał z ich nieociosanych umysłów skarby rozumu i inteligencji, usuwając złudną przegrodę, która dzieli człowieka od zwierzęcia. Nieraz zdarzało się słyszeć zwierzenia Zarifa: „Nie mogę pisać, boli mnie noga", „jestem zmęczony" lub t.p., świadczące o procesie myślowym. Krall nie wątpił ani na chwilę, że jego konie posiadają inteligencję ludzką, rozwiązują najtrudniejsze zadania bez żadnej pomocy obcej, czy wpływu. Pewny jest, że rozumieją, co się do nich mówi, i to co mówią same; wola ich i rozum funkcjonują, według niego, jak u człowieka.

Trudno jest w istocie oznaczyć, gdzie się kończy iteligencja, a zaczynają: pamięć, instynkt, naśladownictwo, skutek tresury lub szczęśliwy zbieg okoliczności. Są jednak wypadki, gdzie tego rodzaju wahanie nie jest dopuszczalne.

Pewnego dnia Krall wraz ze współpracownikiem swym, Schoellerem, usiłowali nauczyć Mahometa, by się wyrażał głosem. Posłuszny i pełen zapału, koń czynił wzruszające, ale daremne wysiłki oddania głosu ludzkiego. Nagle zatrzymał się i wybił kopytem własną, swoistą ortografją te słowa:

— Ig hb kein gud sdim — *) (Nie mam dobrego głosu).

Zauważywszy, że nie otwierał ust, usiłowano mu wytłumaczyć na przykładzie psa i zapomocą obrazków, że chcąc mówić, trzeba rozewrzeć szczęki. Potem spytano go, co trzeba zrobić, by mówić — „Trzeba otworzyć usta!" — odpowiedział zapomocą swego alfabetu. — Czemu ich nie otwierasz? — „Weil kan nigd" — (Gdyż nie mogę) brzmiała odpowiedź.

Pytano również Zarifa, w jaki sposób rozmawia z Mahometem — „Mit munt" (ustami) — „Dlaczego nie powiesz mi tego ustami?" — „Weil ig kein stim hb" (ponieważ nie mam głosu).

Możnaby recytować bez końca przykłady, czerpiąc je obficie z protokółów elberfeldzkich, mających siłę dowodową fotografji. Wszystko to jest niespodziewane, zdumiewające, nieprzypuszczalne nawet dotąd i stanowi największy może cud od czasu, jak człowiek stąpa po tej ziemi.

* * *

Czemże objaśnić, że człowiek żył dotąd pośród swych zwierząt domowych, nie przypuszczając, by posiadały te same, co on, cechy psychiczne?

Czyż nie znamienne są praktyki starodawnych Indyj i Egiptu, liczne a uporczywe legendy o zwierzętach mówiących, prowadzących swych panów i przepowiadających przyszłość?

Na dnie najszaleńszych i najdziwaczniejszych legend — powiada słusznie Maeterlinck — kryje się prawda, spaczona, zapoznana lub mglisto jeno dostrzeżona. Cała nasza najnowsza wiedza metapsychiczna, badanie podświadomości i innych sił nieznanych, wszystko, co obecnie wyłania się dopiero z ciemności, wyryło ślady, zatarte już dziś, ale nie trudne do rozpoznania, w starych religjach, niewytłumaczalnych tradycjach i najdawniejszych dziejach ludzkości.

Dr. Saturnin Wirski.

*) W ortografji tej g = ch, d = t, hb = habe i t. p.

Wiosenne kwiaty

NOWELKA

Nie lubił bardzo historji, lubił zaś pannę Marję. Historja nudziła go ogromnie, nigdy się jej nie mógł nauczyć należycie, a szczerze mówiąc, nigdy się do niej nie przykładał. Ucząc się bowiem historji, myślał o pannie Marji i dziwił się, czemu właśnie ona, a nie kto inny, wykłada przedmiot podobnie nudny; rozmyślał też nad tem, co lubi panna Marja i czem można jej zrobić przyjemność, pomijając dobrą z jej przedmiotu odpowiedź.

I oto kiedyś, kiedy zbliżała się wiosna, powiedziała panna Marja, że tak ładnie czyni się na świecie, że pojawiają się pierwsze kwiaty, i po paru sekundach przerwy dodała: „Cóż może być milszego, świeższego i przyjemniejszego nad pierwsze zwiastuny wiosny: pierwiosnki, sasanki, fiołki...“ A odwróciwszy głowę ku oknu, jakby za szybą zobaczyć miała owe pierwsze wiosny oznaki, zaczęła opowiadać, do jakiej to potęgi doszła Francja za Ludwików, jak to wzmocniła się władza absolutna i jakie jęły się rozwijać prądy umysłowe. On zaś, nie lubiąc tak bardzo historji, czuł zapach i wdzięk subtelnych, blado lila kwiatuszków i myślał o tem, że wie, że nareszcie wie, co lubi panna Marja... Cóż go obchodzić może wzrost Francji za Ludwików z „powszechnej“, lub wojny szwedzkie, czy moskiewskie z historji Polski, kiedy rzeczywiście wiosna czyni się na świecie, a panna Marja tak lubi pierwsze, z pod śniegu jeszcze wychylające się kwiaty. Uważając jednak, że niełądnie będzie zaraz na następnej lekcji złożyć mały bukiecik na katedrze, bojąc się, by panna Marja nie pomyślała sobie, że chce nim stopień dostateczny opłacić — postanowił przeczekać parę lekcyj, co tem łatwiej nawet mu przyszło, że odpowiadać nie spodziewał się jeszcze.

Tymczasem koledzy jego, podrwiwając sobie z sentymentalnej historyczki (o! nie daruje on im tego nigdy!), czyniąc (jakże przykre dla niego!) drwinki, że kto ma fiołki w głowie — rad je mieć blisko siebie — postanowili zdobyć łaskę nauczycielki. I podczas gdy on, nie mogąc zdobyć się na ofiarowanie kwiatków, siedział milcząco, zamiast o Ludwikach, o upodobaniach panny Marji myśląc i o tem, jakby fiołki od niego przyjęła — oni sprzedawali stare książki po księgarniach, podczas pauz grali w „cetno“ czy „licho“, aby, zdobywszy trochę grosza, wyzyskać tę „naiwną gęś“ (jak ją czule nazywali) i fiołkami, pierwiosnkami (wogóle zieleniną) stolik panny Marji przystroić. Że zaś każdy z nich chciał, by „historyczka“ o jego sympatji ku sobie wiedziała, wstawali, gdy tylko wchodziła do klasy i jeden za drugim, z cichym uśmiechem i spuszczonemi oczyma (kto wie, bowiem, czyby, spojrzawszy na nią, w nos jej prosto nie parsknęli?) zbliżali się ku stolikowi i z dystyngowanym (jak mniemali) ukłonem kładli swe dary. Ona zaś z ujmującym uśmiechem, gładząc kwiaty pieszczoną ręką, zapachem ich świeżym się pieszcząc, mówiła rozmarzona jakby i wzruszona:

— Dziękuję wam, chłopcy! Dobrzy, poczciwi chłopcy! Ale pamiętajcie, żeby to ostatni raz... Nie mogę przecież przyjmować od was kwiatów...

Tu patrzyła z filuternym uśmiechem na ofiarodawców, ale tylko na nich, po pauzie zaś dodawała:

— Ach! jak te kwiaty ślicznie pachną! Może który zaniesie je do kancelarji i wstawi do wody?...

Zrywali się wszyscy niemal; jeden przez drugiego przepychając się starał się gorliwością na pamięć dobrą zasłużyć. Panna Marja zaś, wodząc po nich błyszczącemi oczyma, jakby starała się wszystkich dobrze zapamiętać, mówiła: „Ostrożnie, chłopcy, tylko ostrożnie!“ Potem zaś, odwracając głowę, według zwyczaju, ku oknu, opowiadała o ówczesnych Włoszech, Hiszpanji, Niderlandach, wyrywając któregoś pod koniec godziny do lekcji i znaki dobre w dzienniku kreśląc. Po dzwonku zaś, raz jeszcze dziękując i uśmiechając się czule, mówiła:

— Pamiętajcie, chłopcy, żeby to ostatni raz!

Oni zaś krzyczeli podczas pauzy, skacząc po ławkach i po karkach własnych: jak to łatwo można ją nabrać, jaka też durna, jak to ją teraz będą ową zieleniną raczyli. Pytali się siebie ze śmiechem: może jej tak przynieść kiedy resztki jarzyn, które w kuchni znajdą? Jak zielono — to zielono! (a toby taniej nawet kosztowało!).

On zaś, Myślkiewicz, słuchał i patrzył na kolegów z nienawiścią niemal, czasem znowu z zazdrością, gdy pomyślał, jak spoglądała na nich panna Marja i mówiła im: „Dziękuję wam, chłopcy! Ach! jak te kwiaty pięknie pachną!“

Zbierał tydzień cały po 10, po 15 groszy i, odważywszy się wreszcie w czwartek kupić dwa małe bukieciki u grubej i wrzaskliwej przekupki, przyszedł do szkoły. Bojąc się, by dwa cenne skarby nie zwiędły w drodze, skrapiał je od czasu do czasu wodą, którą wziął z domu w butelkę. W klasie wynalazł jakąś starą, potłuczoną szklankę od „farb“ i, włożywszy w nią kwiatki, nalał wody i czekał.

Chłopcy ze śmiechem patrzyli na te przygotowania.

— Patrzcie no! nawet Myślkiewicz chce Marylkę nabić! Ho! — ho! odrazu dwa! Czekaj, bracie, żeby Ci dwói nie wlepiła. Nie taka ona głupia, żeby się miała odrazu na dwa dać złapać!

On zaś myślał o tem tylko, jak spojrzy się nań panna Marja i melodyjnie a miękko powie mu: „Dziękuję ci Myślkiewicz, no ale poco to? Pamiętaj, żeby to ostatni raz!“ Myślał o tem, żeby się ukłonić ładnie i nie spuścić oczu, tylko wytrzymać jej spojrzenie, tylko wytrzymać...

I tu przypomniał sobie z gniewem kolegów, którzy mówią, że „historyczka“ ma „rybie oczy“ i „na wierzchu“. Ona i rybie oczy! Ale czy ta hołota się zna, czy potrafi nawet zrozumieć i odczuć wyraz tych cudnych oczu, które wtedy tylko trochę na piękności tracą, gdy panna Marja nową lekcję objaśnia.

On, Myślkiewicz, jeden tylko w klasie poznał się na niej. I dlatego teraz wszystkie swe sądy i uczucia zamyka w swych małych dwu bukiecikach. Niech one powiedzą pannie Marji wszystko, niech wyczyta z nich, dlaczego on, Myślkiewicz, nigdy historji nie umie i dlaczego historji nie lubi. Niech jej powiedzą, że on uważałby za świętokradztwo myślenie na jej lekcji o czem innem, jak nie o niej samej. O tak! On nawet chwilami szaleje za historją; wtedy właśnie, kiedy mowa o jakimkolwiek Ludwiku, bo zdaje mu się, że panna Marja o nim coś mówi, lub do niego. Tak! On przecież jest Ludwik; a że nie XIV, ani XV, tylko Myślkiewicz — to nic, ale zawsze Ludwik.

Zamknął oczy, zatkał palcami uszy,— wejścia nauczycielki nie mogąc się doczekać i myślał: „Przeliczę w myśli do stu i otworzę oczy, może już będzie?“ Liczył wolno dziesiątkami i dodawał je skrupulatnie, potem zaś myśląc, że otworzywszy oczy puste zobaczy krzesło, jeszcze raz począł liczyć, doszedł do 90-ciu i dziwnym niepokojem tknięty odkrył uszy, otworzył oczy i... dech mu w piersiach zamarł.

Oto bowiem panna Marja, z uśmiechem tak wdzięcznym, jakiego nigdy

jeszcze nie widział, pochylała swą głowę nad jego dwoma bukiecikami kwiatków, w poobtłukiwanej zakurzonych szklance, i mówiła głosem cichym, melodyjnym:

— Dziękuję ci, Sprytniewski! Pamiętałeś nawet o tem, by je włożyć do wody, nie zwiędną. Jakże piękny odcień mają te kwiatuszki! Zrobiłeś mi wielką przyjemność, Sprytniewski. Pamiętaj jednak, żeby się to już nigdy nie powtórzyło, ja nie mogę przecież...

Myślkiewicz nie słyszał dalej, chciał zerwać się z miejsca, rzucić na Sprytniewskiego i walić go mocno, z sił całych pięściami po głowie; chciał krzyczeć: „To nieprawda — to są moje kwiatki, zresztą one same powiedzą, one tyle mają Pani powiedzieć!“

Cała klasa kręciła się z nim dokoła stolika panny Marji, ze wszystkich zaś kątów wychylały się i zbliżały ku niemu olbrzymie bukiety wielko-kwiatów o ślicznych odcieniach, zanurzone w potworne, poobtłukiwane szklanki i butelki. Przy każdym zaś bukiecie-olbrzymie stał wielkolud-Sprytniewski i podsuwał mu z drwiącym uśmiechem obtłuczone, szklane naczynia, które do krwi kaleczyły palce Myślkiewicza. Nie wiedział, co się z nim dzieje; jak przez sen słyszał głos panny Marji:

— Jestem dziś taka zmęczona, chłopcy! Na przyszły czwartek zrobimy repetycję, dziś zaś ureguluję sprawę waszych stopni. Proszę cię, Myślkiewicz, może nam powiesz wszystko, co wiesz, o Ludwiku XV?

Trącił go jeden kolega, drugi i trzeci, co za nim siedział; któryś szepnął cicho:

— Wstawaj, ośle, i nie bój się. Powtarzaj tylko za mną to, co ci będę mówił. Dałem jej w zeszły czwartek kwiatki, to mi nic nie powie!

A Myślkiewicz wstał i pomyślał sobie z przeraźliwym smutkiem, iż tyle tylko wie o Ludwiku XV, że ten chyba nigdy nie doznał takiej krzywdy, jaka się jemu dziś stała.

A panna Marja głosem ostrym, suchym mówiła.

— Słuchaj, Myślkiewicz! Nie pytałam cię specjalnie tak długo, byś miał czas nauczyć się i poprawić. Podczas gdy koledzy twoi pracują pilnie i coraz to widoczniej poprawiają się (tu— spojrzała na kilku, dłużej na Sprytniewskiego i uśmiechnęła się, poczem zaś do surowego powracając tonu — ciągnęła:) ty — myślisz, Bóg wie o czem, na lekcjach moich nie uważasz, przestrogi moje lekceważysz, wreszcie zmuszasz mnie do wielkiej przykrości stawiania ci niedostatecznych stopni. Siadaj! Miałam ochotę poprawić cię dziś — teraz zaś staraj się mieć inne stopnie dostateczne, bo nie otrzymasz promocji. Mój kochany! Wszystko dobrze, ale uczyć się trzeba. Siadaj!

Myślkiewicz stał. Pociągnięty przez kolegów, padł ciężko na ławkę i zdobył się na jedną tylko, jedyną myśl: „Więc te fiołki nic jej jeszcze nie powiedziały? Pewno powiedzą, wytłumaczą w domu...

Jakże ogromnie chciał, by na swem słońcu najmniejszej plamy nie dostrzec i z jaką niecierpliwością wielką czekał przyszłego czwartku...

Irma Gross.



MŁODY TECHNIK

Motory słoneczne.

Potężny rozwój techniki współczesnej, olbrzymie centra przemysłowe i środki lokomocji pociągają za sobą poszukiwanie coraz to nowych źródeł energji. Kopalnie węgla i źródła naftowe stają się celem pożądań wszystkich państw świata i stanowią oś, dokoła której obraca się polityka światowa.

I oto już zdawiendawna oczy przewidujących uczonych skierowują się na te olbrzymie zbiorniki energji, jakiemi są wiatry, szybkie nurty rzek górskich, wielkie wodospady, przypływy i odpływy morskie, a nadewszystko słońce.

W całej prawie Japonji, w Szwecji, w Szwajcarji, częściowo zaś — Francji innych państwach zdołano przeprowadzić elektryfikację tych krajów siłą potoków górskich lub wodospadów. Potężne turbiny wodne przekształcają pracę mechaniczną na prąd elektryczny, energją swą ożywiający motory fabryk i koleje elektryczne.

Już sztychy późnego renesansu przekazują nam prace uczonych, pragnących zużytkować energję cieplną słońca, jeden z nich, Salomon de Caus, w roku 1624 zbudował wodotrysk przy pomocyapary wodnej, otrzymanej drogą ogrzaniz wody przez słońce.

Lecz były to tylko igraszki dziecinne, usizowania zgóry skazane na niepowod enie. Brak tych środków, w jakie obfituje technika współczesna, stanowił nieprzezwyciężoną zaporę.

Najnowsze badania, możność budowania potężnych soczewek zbierających — skierowały usiłowania techników i uczonych na właściwe tory i pozwoliły już na zapoczątkowanie nowej gałęzi techniki. Jeszcze w końcu ubiegłego wieku i na początku XX, budują Anglicy w Egipcie olbrzymie motory słoneczne. Potężnych rozmiarów zwierciadła paraboliczne kierują promienie słoneczne na kotły parowe; zawarta w tych kotłach ciecz o niskiej temperaturze wrzenia, przekształca się na parę, która porusza pompy, nawadniające ziemie orne, uboższe w wodę.

System ten, stosowany także w Algierze i Kalifornji, oddaje wielkie usługi tamtejszym plantacjom bawełny.

Ostatnio udało się niemieckiemu profesorowi Uniwersytetu, Marcuse'mu, skonstruować motor słoneczny, który pod względem prostoty budowy, taniości i wydajności przewyższa wszystkie, znane dotychczas.

Promienie słoneczne zostają skoncentrowane w olbrzymiej soczewce, zbudowanej z dwóch oddzielnych części ze szkła lustrzanego, wewnątrz których znajduje się ciecz. Soczewka wykonana w ten sposób jest znacznie tańsza od pełnej. W jej ognisku (w którem temperatura dochodzi do 1000° C.) umieszczony został, szczelnie izolowany od otaczającej go atmosfery, kociołek, w którym wre ciecz pod niskiem ciśnieniem. Promienie słoneczne odbite zostają od płaskiego zwierciadła, umieszczonego poza soczewką. Odmiennie od dawniejszych systemów, motor pozostaje nieruchomy, obraca się zaś jedynie odpowiednio ustawione zwierciadło, śledząc za dziennym ruchem słońca. (Mechanizm zegarowy, starannie wykonany, kieruje zwierciadłem w ten sposób, że promienie słoneczne padają na soczewkę równolegle do jej osi optycznej, aby załamać się w jej ognisku).

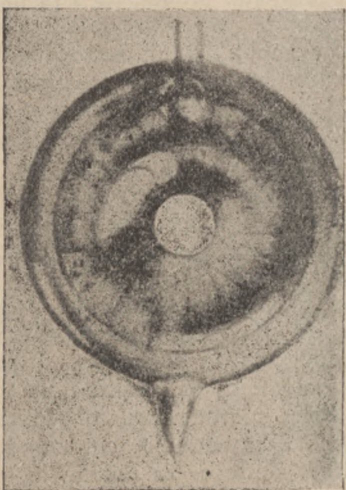
Wydajność maszyny zależy oczywiście od intensywności światła (stanu nieba i położenia geograficznego). Jednemu metrowi kw. powierzchni soczewki odpowiada według obliczeń mniej więcej 1,5 konia mech.

Warto zacytować tutaj słowa Steinmetza, znakomitego współpracownika Edisona: „Gdybyśmy wyzyskali zaledwie 10 proc. tej energji promieni słonecznych, którą otrzymują bezużyteczne obszary Ameryki Północnej, władalibyśmy 13-ma miljardami kilowatów, t. zn. energją większą, niźli wszystkie kopalnie i źródła naftowe dostarczyćby nam mogły."



CO TO JEST TELEWIZJA?

Wszystkie ciała posiadają własność zatrzymywania lub odbijania promieni świetlnych na nie padających. Promienie te, odbite od przedmiotów, dostają się do siatkówki naszego oka



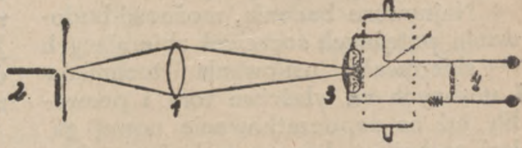
Rys. 1.

lub płyty fotograficznej, tworząc jednolite wrażenie wzrokowe. Każdy więc obraz, rycina lub przedmiot przedstawia, po bliższem zapoznaniu się z nim, zbiór punktów niejednakowo oświetlonych.

Już od zapoczątkowania fotografji i pierwszych telefonów — zrodziło się w umysłach ludzkich pragnienie przesyłania obrazów na odległość, podobnie jak dźwięki mowy naszej przenoszone być mogą z jednego krańca ziemi na drugi. Starano się wyzyskać w tym celu własności selenu. Wiadomo bowiem, że płytka wykonana z tego materjału będzie świeciła, gdy przepuszczać przez nią będziemy prąd elektryczny; świecenie to tem silniejsze się okaże, im większy prąd przez nią przepłynie (i odwrotnie, bardziej lub mniej intensywny promień światła wywoła większy lub mniejszy prąd w obwodzie). Jednak próby z selenem nie doprowadziły do pożądanych rezultatów, naskutek wielkiej jego bezwładności, t. zn. należało dość długo przepuszczać prąd, by wywołać świecenie, które po przerwaniu obwodu nie znikało natychmiast. Dopiero najnowsze odkrycia w dziedzinie radjotelegrafji, budowa czułych lamp katodowych, pozwoliły po wielu trudach i pracy na pomyślne rozwiązanie tego zagadnienia.

Komórka fotoelektryczna stanowi „oko" stacji wysyłającej.

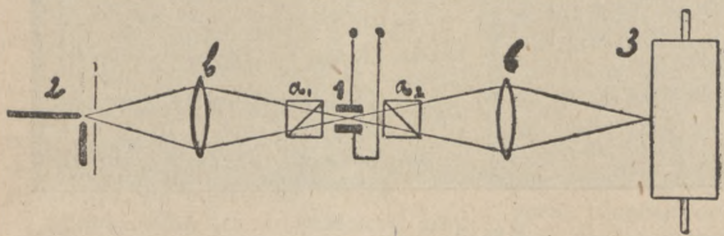
Jest to okrągłe pozbawione powietrza, naczynie szklane, wewnątrz którego znajduje się cienki drut, pokryty warstewką wodorotlenku potasu z dodatkiem rubidu i cezu; jest to katoda, anodę zaś stanowi druciana siatka, umieszczona pierścieniowato wewnątrz banieczki. Jeśli na katodę padnie pro-



Rys. 2.

mień światła, wysyła ona ku anodzie pewną ilość elektronów, zależną od siły padającego światła (Rys. 2 daje wyobrażenie stacji nadawczej) Silne źród-

ło światła, np. łuk Volty (2), wysyła swe promienie w kierunku soczewki, (2) która je załamuje i zbiera w jeden punkcik o wymiarze 0,04 mm. kw. Tak załamany promień przechodzi przez środek komórki fotoelektrycznej (nie może on jednak wywołać drgań elektronowych w bańce, ponieważ specjalna osłonka chroni światłoczułą powierzchnię od niepożądanych promieni) i zostaje odbity od bębna, na powierzchni którego został umieszczony obraz, mający być wysłany. Ten odbity promień pada teraz na katodę, wywołuje zmienny ruch elektronów, zależny od jasnych lub ciemnych plam rysunku. Ponieważ lampa nie posiada oporu bezwładności, zmiany wywołane ruchem natężenia światła nie odbijają się ujemnie na ruchu elektronów, który w każdym momencie może być taki lub inny. Cały mechanizm optyczny systemu nadawczego i odbiorczego pozostają nieruchome, obracają się zaś jedynie bębny, posuwając się jednocześnie naprzód; w ten sposób promień świetlny ślizga się po całym drucie, dotykając każdego prawie jego elementu i wywołuje w ten sposób ciągłe zmiany prądu między anodą a katodą bańki.

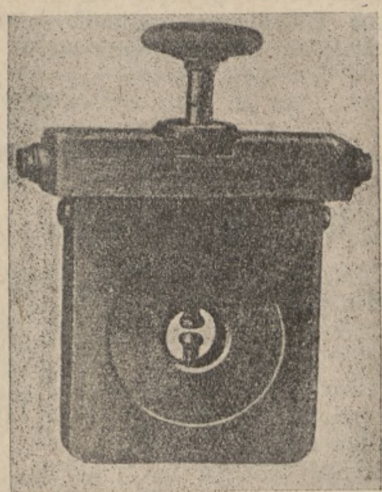


Rys. 3.

Otrzymane wahania prądu zostają silnie wzmocnione i sposobem zwykłym wypromieniowane z anteny wysyłającej.

Aparat odbiorczy otrzymuje je więc w postaci fal elektromagnetycznych i przekształca na prądy, słyszalne w słuchawce telefonicznej. Lecz zamiast telefonu załączona jest do radjoodbiornika t. zw. komórka Karolusa (rys. 4 i 3 p. 1); stanowi ją maleńki kondensator, którego płytki zanurzone są w nitrobenzolu, służącym za nieprzewodnik (dielektryk). Przed komórką i tuż za nią znajdują się dwa pryzmaty (a_1 i a_2), które załamują (polaryzują) promienie świetlne, wysyłane, podobnie jak na stacji nadawczej, przez łuk Volty. Jeśli na okładzinach (płytkach) kondensatora (rys. 3 p. 1) niema żadnego napięcia (różnicy potencjałów), promienie świetlne, po przejściu przez soczewki (b_1 b), zejdą się w jednym punkcie, dając wyraźną jasną plamkę.

Wystarczy jednak niezmiernie mała różnica potencjałów na zaciskach komórki, by jeden z promieni nie nakładał się równomiernie z drugim i spowodował w ten sposób zaciemnienie punktu. Wszystkie tak otrzymane plamki zostają fotografowane na kliszy, rozpiętej wzdłuż bębna odbiorczego (3). Bęben ten obraca się i porusza jednocześnie naprzód z tą


Rys. 4.

samą szybkością, z jaką wykonywa te ruchy bęben nadawczy.

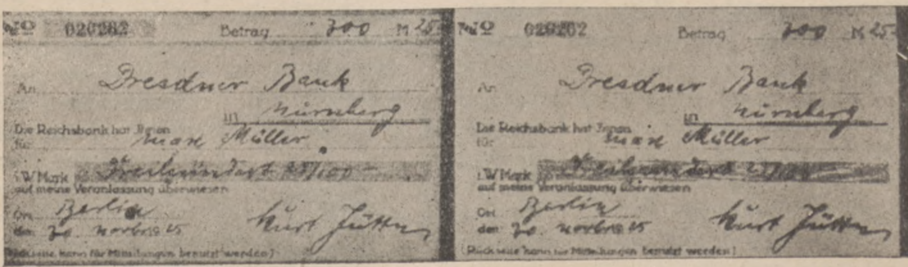
Tak więc najdrobniejsze wahania prądu, wysłane przez komórkę fotoelektryczną, zostają zamienione na mniej lub więcej intensywne plamki świetlne,

notowane natychmiast na płycie fotograficznej, dając w rezultacie obraz przesłanego przedmiotu.

Problem przekazywania obrazów na odległość został pomyślnie rozwiązany. Trudno w tej chwili ocenić wszystkie zalety nowego wynalazku, określić te perspektywy jakie się przed nim otwierają. Wystarczy powiedzieć, że lotnik, unoszący się w nieznanych przestworzach, lub kapitan okrętu na pełnem morzu, otrzymując mapki meteorologiczne, uprzedzani są o nagłych zmianach atmosfery i mogą zabezpieczyć się przed grożącą burzą. Przestępca ścigany nie uniknie ręki sprawiedliwości, odcisk jego palca lub fotografja dojdą wszędzie, gdziekolwiek by się schronił. Podróżny w drodze, daleko od swej ojczyzny, będzie czytać z ciekawością gazetkę codzienną swego miasta lub wsi, a zarobione pieniądze czekiem (rys. 5) natychmiast przesyłać swoim bliskim.

I być może, że wkrótce niewielki i tani odbiornik pozwoli nam na białym ekranie, we własnym pokoju, widzieć film wyświetlany w tej chwili na dalekim świecie. Chwilowo jednak marzenie nasze jest tylko marzeniem. Prawdziwa telewizja nie istnieje jeszcze...

B. Peters.



Rys. 5.

Wymowa liczb.

Ciekawe wyliczenia.

Istnieją wyliczenia matematyczne, zadziwiające wprost swą niezwykłością i przyciągające uwagę a zasługujące na wyróżnienie, ponieważ pobudzają ciekawość i zainteresowanie do samego przedmiotu matematyki. Przytoczymy tu kilka dla przykładu:

1. Daj dziecku zaklejoną kopertę i jednocześnie poleć mu, by napisało jakąkolwiek trzycyfrową liczbę, np. 713, dalej niech napisze cyfry w odwrotnym porządku, co wyniesie 317, potem niech odejmie drugą liczbę od pierwszej — otrzyma 396; dalej niech przestawi cyfry w odwrotnym porządku w tej ostatniej liczbie, wreszcie — niech doda dwie ostatnie liczby, a otrzymamy sumę 1089. Po przeprowadzeniu tych wszystkich działań, niech otworzy zaklejoną kopertę, w której znajdzie papier z wypisaną zgóry liczbą 1089. Możecie z całą pewnością napisać tę liczbę, gdyż wszelka liczba, której cyfry skrajne będą różne, da ten sam rezultat.

2. Po przeprowadzeniu następujących działań: $12 \times 9 + 3$, $123 \times 9 + 4$ i t. d. aż do $123456789 \times 9 + 10$, przekonacie się, że wszystkie rezultaty, otrzymane przez was, będą się składały z wypisanej kolejno cyfry 1. Gdy zaś weźmiecie naodwrót $9 \times 9 + 7$,

98×9+6,... aż do 9876543×9+1, to otrzymacie w rezultacie liczby wyrażone wyłącznie przez cyfrę 8.

3. Iloczyn 123456789×9 będzie wyrażony tylko zapomocą cyfry 1. Pozostawiwszy tę samą mnożną, a wziąwszy za mnożnik 18, 27, 36, 45, 54, 63, 72, 81, otrzymamy również ciekawe iloczyny, wyrażone przez powtarzającą się cyfrę.

Tani dom.

Pewien jegomość, dość sprytny zresztą, wybudował sobie niewielki piętrowy domek, do którego wiodły schodki: na wysoki parter wiodło 7 schodków, na piętro zaś — 19.

Minęło kilka lat i właściciel zmuszony był sprzedać swój dom, utrzymany zresztą w porządku i wyglądający wcale nieźle. Nabieralski (takie było prawdopodobnie nazwisko sprzedawcy) zaproponował swemu klijentowi następujące warunki:

— Nie jestem zbyt wymagający, a przytem zmuszony jestem sprzedać dom w krótkim czasie, niech więc Pan położy na pierwszy schodek grosz, na drugi — dwa grosze, na trzeci — cztery grosze i w ten sposób ciągle podwaja aż do końca. To głupstwo: schodów jest zaledwie 26!“

— Dobra jest! Zrobione! — zawołał Prostak (tak zapewne brzmiało nazwisko kupującego), uradowany z „dobrego interesu“.

Nazajutrz Prostak ugościł Nabieralskiego wspaniałem śniadaniem, a następnie udał się na schody, by zapłacić należność za dom: kwotę 2^{26} — 1 groszy. Aż do ostatniego schodka, wiodącego na parter, wszystko szło dobrze; nietrudno było opłacić pierwsze schodki, ale wkrótce sakiewka Prostaka opróżniła się ku jego wielkiemu zdumieniu. Wówczas sprzedawca przedłożył Prostakowi rezultat matematycznych wyliczeń: „Drogi panie —rzekł —winien mi pan 671.088 złotych 63 grosze, no, ale po przyjacielsku ja już odrzucam te 63 grosze!“

Wobec takiego dictum Prostak spuścił nos na kwintę. Od tego też czasu starał się już o to, by dzieci jego nauczyły się postępu geometrycznego, sam zaś pojął go doskonale, jakkolwiek drogo za tę lekcję zapłacił.

Grosz, oddany na procent.

Ciekawem zastosowaniem postępu w praktyce jest reguła procentów składanych. Jeżeli oddamy 1 złoty na 5% rocznie, to da on 5 groszy odsetek. Jeżeli nie odbierzemy tych groszy, a dodamy je do kapitału, który wyniesie teraz 1 zł. 5 groszy i znów oddamy na procent roczny i t. d., to po upływie pewnej liczby lat kapitał może urosnąć do niebywałych rozmiarów dzięki procentom składanym.

Wyliczono też, że gdyby ktoś złożył 1 grosz na 5% składanych na początku ery chrześcijańskiej, t. j. w I wieku, to do końca 19 wieku otrzymanoby kapitał, któryby można było przedstawić w postaci miljarda złotych kul, równych co do wielkości kuli ziemskiej. Wykazuje to niemożliwość całkowitego zastosowania procentów składanych w życiu codziennem, gdyż są one poprostu nieobjęte.

Możemy natomiast rozwiązać takie zagadnienie, jak: po ilu latach otrzymamy miljon złotych, jeżeli złożymy 1 grosz na 5% składanych? Wyliczono też, że trzeba byłoby na to 378 lat, to znaczy, że gdyby jednemu z naszych przodków w r. 1519, za panowania Zygmunta Starego przyszła do głowy szczęśliwa myśl złożenia 1 grosza na 5% składanych, to w roku 1927 ktoś z nas byłby szczęśliwym posiadaczem 1 miljona złotych. Można byłoby też uzyskać miljon złotych w roku 1927 i w tym wypadku, gdybyśmy oddali w 77 roku po nar. Chr. 1 grosz na 1 procent składany — oczywiście bez uwzględnienia tych wszystkich wypadków, które mogłyby zajść przez ten czas.

SPORT

ALFRED FREYER — POLSKI NURMI DO CZYTELNIKÓW „MOJEGO PRZYJACIELA"

„Bawię się" w sport od maleństwa—opowiada p. Freyer—ale poważnie wziąłem się od r. 1920. Rozpocząłem swą karjerę sportową jako footballista w rodzinnem mojem mieście, Tarnobrzegu. Dopiero 3 maja 1925 roku, kiedy klub mój urządził wraz z Uniwersytetem Jagiellońskim bieg na 1600 metrów, poraz pierwszy zająłem się lekko-atletyką. Wobec niedyspozycji jednego ze współzawodników w dniu biegu, polecono mi zastąpić go. Nie wiedziałem nawet „jak się to robi", ale, rozumie pan, chodziło przecież o honor klubu, więc, nie namyślając się wcale, stanąłem do biegu. Przybiegłem do taśmy przed znakomitym mym rywalem, p. Kostrygą z Uniw. Jag., ale nie wiedziałem, czy mam stanąć przed taśmą, czy też przeskoczyć ją, no i w końcu, wie pan, przeskoczyłem 1/2 metra nad nią, wywołując tem wielki śmiech wśród zebranej publiczności. Odtąd rzuciłem piłkę nożną i zająłem się tylko lekko-atletyką.

— Jakie wyniki osiągnął pan na nowem polu?

—Przeważnie miejsca pierwsze. Wyliczę panu kilka ważniejszych zwycięstw:

Żywiec, dnia 1 czerwca 1925. 2750 mtr., czas 8,28. miejsce pierwsze, puhar na własność srebrny, ofiarowany przez arcyksięcia Stefana Habsburga.

Warszawa, dn. 20 i 21 czerwca 1925 roku. Międzynarodowe zawody 5 kilometr, czas 16,8,7; rekord Polski, który został uznany; zająłem miejsce drugie, pierwsze p. Cymermans (Łotwa) w czasie 16,4,2. (ustanowił również rekord swego państwa).



Alfred Freyer

Górny Śląsk. 18 i 19 lipca 1925 roku 5 kilometr. 1500 mtr. 3 kilometr. miejsce pierwsze, osiągnąłem tytuł mistrza G. Z. L. A.

Lwów, 12 września 1926 r. Międzynarodowe zawody, bieg jednogodzinny 16 kilometrów 707 mtr. rekord Polski, tego samego dnia 15 kilometrów, czas 53,42 rekord Polski.

Maraton 42 kilometry 250 mtr. czas 2,56,45 pobiłem rekord Polski o 13 minut. Chcę panu nadmienić, że teren był bardzo górzysty.

Oprócz tego mam jeszcze dwa rekordy na 5 i 30 kilometrów, które dotyychczas nie są uznane.

—Jaki bieg swój zalicza pan do najciekawszych?

—Ciekawych biegów miałem wiele, ale najbardziej denerwujący był bieg 1 sierpnia 1925 roku na Górnym Śląsku. Mieliśmy startować z Niemcami w biegu na 5 kilometrów. Mówiono nam, że Niemcy „zrobią“ niżej 16, że zbiją nas na kwaśne jabłko. Publiczność śląska sprzyjała Niemcom, obrzucając nas obelgami, tak, że chcieliśmy już nawet zrezygnować z tego biegu, gdy naraz wpadłem na pomysł: Puścimy Niemców naprzód — postanowiłem—a kiedy „spuchną“, to my —„gazu“! Niemcy skombinowali się jednak i nie chcieli prowadzić, wysuwając nas na czoło. Publiczność niemiecka zaczęła ich dopingować, oni jednak nie wysuwali się. Tak żółwim krokiem zrobiliśmy dwa okrążenia. Natenczas nasza publiczność z konsulem polskim na czele zaczęła nas dopingować. Puściłem wtedy kolegę Kołodzieja dla próby na czoło, sam zajmując 3 miejsce. Kiedy Niemcy byli już mocno „wypompowani“ i kiedy nie mogłem wytrzymać tak słabego dla mnie tempa, ruszyłem w imię Boże „pełnym gazem“ naprzód, wysuwając się odrazu na czoło i mając swego następcę o jakieś 300 mtr. za sobą. Wtedy już, mimo krzyków Niemców, nie chciałem ustąpić i osiągnąłem pierwsze miejsce ku zgorszeniu Niemców i wielkiej uciesze Polaków. Konsul polski w towarzystwie swej żony złożył mi wtedy osobiście życzenia, mówiąc, że jest to pierwsze zwycięstwo sportowe Polaków nad Niemcami na Górnym Śląsku. Zresztą, wie pan— roześmiał się Freyer— ciekawa rzecz, że nawet niemiecka publiczność obdarzała nas po zwycięstwie pewną dozą sympatji, a wymysły skierowała w stronę nieszczęsnych swych rodaków, którzy musieli z „nosami na kwintę“ uciekać z bieżni.

Ciekawym może będzie dla młodych czytelników „Mojego Przyjaciela“ fakt, że w Warszawie kiedy przyjechałem na zawody międzynarodowe, już—już miałem zrezygnować z tego biegu przez... masaż. Było to po pierwszym biegu, w którym nie brałem udziału. Zauważyłem, że zaraz po biegu jacyś nieznajomi rzucają się na zawodników, kładą ich na deski... biją, gniotą, szczypią i t. d. Nie wiedziałem, o co chodzi, bo nigdy z takim współudziałem publiczności nie spotykałem się dotychczas. Wiele trudu kosztowało moich kolegów, póki objaśnili mię, że masaż robi się dla mego dobra, i przyznam się panu, że przez dłuższy czas z wielką podejrzliwością odnosiłem się do masażystów,

— Czy obecnie zajmuje się pan tylko lekko-atletyką, czy też i innemi gałęziami sportu?

— Oprócz lekko-atletyki uprawiam *tylko*: tennis, hipikę, myślistwo, wioślarstwo, pływanie, kolarstwo, łyżwiarstwo, i sport saneczkowy.

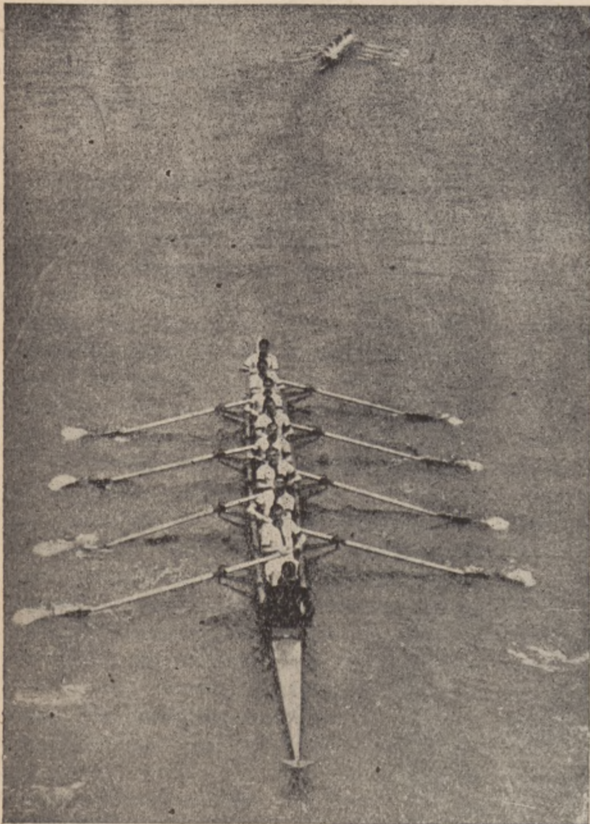
— Jaki sport zaleca pan naszej młodzieży?

— Bieg, tylko bieg, kochany panie. Nic nie rozwija tak piersi, jak bieg. A przyzna pan chyba, że nasza młodzież nie umie nawet odetchnąć porządnie pełną piersią. Radzę jej nie „kopać“ się, ale dbać o zdrowie.

Ryszard Strzałkowski.

Skoki z balonem.

W Ameryce jest teraz w modzie nowy sport, któryby po polsku należało nazwać „skoki z balonem“. „Sport“ polega na tem, że uprawiający go przywiązuje się na pasie do balonu o średnicy 2 metrów i biega po polu. Robi się przy tem bardzo wysokie i dalekie skoki i trzeba niezwykłej zręczności, żeby—szczególnie podczas wiatru — „pofrunąć“ w pożądanym kierunku.



Oxford-Cambridge.
Załoga Cambridge'u wyczerpana docna, ale zwycięska.
(Zdjęcie wykonano na chwilę przed dojściem łódki do celu)

Oxford - Cambridge.

Dwa znane angielskie miasta uniwersyteckie współzawodniczą ze sobą nietylko na polu nauki. Również i w dziedzinie sportu odbywają się corocznie zawody między Oxfordem a Cambridgem, będące przedmiotem ogólnego zainteresowania w Anglji.

Do najciekawszych tegorocznych zawodów „międzyuniwersyteckich" należały rozegrane ostatnio zawody wioślarskie, które podobno zaprzątały przez pewien czas opinję publiczną w Anglji znacznie więcej, niż sytuacja w Chinach.

Zawodom przyglądało się *pół miljona ludzi.* (Wyobraźmy sobie, że co drugi mieszkaniec Warszawy przypatrywał się wyścigom łodzi uniwersyteckich!).

Pisma angielskie zamieszczają fotografje, na których widzimy, jak rozentuzjazmowane tłumy brodzą przez wodę dla ujrzenia finału tej niezwykle ciekawej walki. Cambridge w tym roku zwyciężył już czwarty raz zkolei i w ogólnej tabeli rozgrywek między obu uniwersytetami ma 38 zwycięstw na 40, osiągniętych przez Oxford.



Piękny start.

EKRAN

Niezwykły film

Wielka wytwórnia kinematograficzna, Ufa, przystąpiła do wyświetlania obrazu, którego bohaterami są owady. Jeden z kierowników towarzystwa, Starewicz wyspecjalizował się w tym dziale i z zapałem uczonego studjuje entomologję.

Wszystko, począwszy od oryginalnych aktorów, a skończywszy na dekoracjach, wykonane jest z plasteliny i ołowiu, a sprawia wrażenie realnego życia. Każdy ruch tych niezwykłych artystów musi być fotografowany oddzielnie, a klisza wywoływana. Niejednokrotnie zdjęcia należy powtarzać, a owady na nowo ustawiać. Ilość tych zmian, przypadająca na sekundę wyświetlania, wynosi 16. A więc film, półgodzinny zaledwie, wymaga wykonania około 30000 oddzielnych fotografij! Cóż za ogrom pracy i cierpliwości!



Dawid i Goljat
(scenka z obrazu: „jesteśmy ludźmi, jak i wy).

TO i OWO

W Chinach — wszystko na opak.

Ostatnie walki między Czang—So—Linem i różnemi innemi Linami zwróciły uwagę całego świata na Chiny. Dla Europejczyka Chiny są czemś niezrozumiałem, jak „dzikie" pismo chińskie. Albowiem Chińczycy nietylko pod względem położenia geograficznego są naszemi antypodami, ale i obyczaje ich, sposób myślenia, formy towarzyskie — to zupełne przeciwieństwo europejskich obyczajów i poglądów.

Chińczycy rzeczywiście mają jakieś „chińskie" obyczaje.

Biały kolor jest u nich... żałobnym.

Opowiadając o śmierci swojej matki lub bliskich krewnych, Chińczyk stara się być wesoły, często śmieje się serdecznie. I nie jest to wcale dowodem jakiegoś anormalnego braku serca. Nie! Tu przejawia się iście wschodnia uprzejmość. Chińczyk myśli sobie: „Moje sprawy osobiste są tak małej wagi, że ciebie nie mogą obchodzić".

Dobrze wychowany Chińczyk obowiązany jest poniżać siebie wobec swego rozmówcy. O swoich synach, z których skądinąd jest dumny, mówi jako o „głupich prosiakach".

Nie wolno Europejczykowi powiedzieć ani słówka na temat dobrego wyglądu i zdrowia jakiejś młodej latorośli Chińczyka. Jeśli bowiem mały Chińczyk przypadkiem zachoruje, gotowi są w tym klasycznym kraju przesądów i zabobonów przypisać winę choroby urokowi „zamorskiego djabła".

Jakich wyrażeń używa Chińczyk?

Zamiast zapytać spotkanego na ulicy znajomego: „Jak ci się powodzi?", Chińczyk informuje się: „Czy już zjadłeś swój ryż?".

Odchodząc, nie powie: „Dowidzenia", lecz rzuci przyjazną radę: „Chodź powoli". Chińczyk nigdy nie zapyta wprost o twoje zdrowie, lecz będzie się dowiadywał, ile masz lat; nie omieszka przytem złożyć ci serdecznych życzeń, jeśli się dowie, że już masz pięćdziesiątkę. Chcąc sprawić przyjemność młodej damie, Chińczyk z miłym uśmiechem powie o niej, że wygląda na 60 lat! Ma to znaczyć, że dana osoba, mimo młodego wieku, osiągnęła już mądrość i doświadczenie sędziwej matrony. Zresztą, ten szacunek dla starszych jest wogóle dla Chińczyka charakterystyczny.

Chińczyk potrafi dopytywać się każdego o jego zarobki, szczegóły z życia prywatnego, o wysokość komornego i cały szereg rzeczy, poruszanie których nazywa się u nas niedyskrecją i brakiem taktu.

Pozdrawiając wstępującego w jego progi gościa, Chińczyk nałoży przedtem czapkę na głowę. Przy powitaniu ściska... własne ręce. Z dumą pokazuje gościom kilka grubych desek, przeznaczonych w przyszłości na trumnę dla niego. To kochający synowie kupili ojcu ten najmilszy—według chińskich poglądów—prezent. A u nas — gdyby tak jakiś syn kupił swemu ojcu na imieniny trumnę?

Na konia wsiada się w Chinach z prawej strony. Pomniki umieszcza się na grobie od strony nóg zmarłego. W szkole nauczyciel siedzi w kącie klasy, a odpowiadający uczeń jest odwrócony do niego plecami. (To byłoby bardzo wygodne dla nas. Prawda?). I jeszcze. I jeszcze.

Słowem — „chińskie" obyczaje!

Cuda chirurgji.

Monachijski chirurg, profesor Sauberbruch, złożył przedstawicielom niemieckiej nauki w Berlinie sensacyjne sprawozdanie ze swej praktyki, demonstrując jednocześnie pacjentów, jako dowód naoczny. Prócz znanych już szerszemu ogółowi wypadków „przestawiania" kości, „zmiany" skóry i t. p. dokonał pomysłowy profesor następującego eksperymentu: zamiast wyciętej chorej kości ręki (prawie że do ramienia), wstawił drewnianą protezę wielkości odpiłowanej kości; mięśnie natomiast i skórę, które pozostały w czasie operacji tylko odwinięte, nałożył zpowrotem dokoła protezy, zaszył — i krew poczęła krążyć ponownie. Złudzenie posiadania własnej ręki u pacjenta jest tak wielkie, że wydaje mu się nawet nieraz, iż odczuwa dotyk swemi sztucznemi palcami.

W poszukiwaniu fantastycznych zwierząt.

Pod kierownictwem znanego myśliwego i podróżnika-badacza Afryki, pułk. ang. H. R. Fenna wyruszyć ma do jezior, położonych na północy belgijskiego Konga, wielka ekspedycja, mająca na celu sprawdzić kursujące wśród szczepów murzyńskich wieści o bajecznych, nieznanych zwierzętach, żyjących nad brzegami tych jezior.

Murzyni opowiadają, że w puszczach, zamieszkałych przez złośliwe i wojownicze szczepy karłów, spotyka się niebieskiego goryla. O zwierzęciu tem krążą jedynie legendy, gdyż nikt z białych nie widział go. W krainie jezior żyje również biały centkowany lew, zw. irizena, którego skórę oglądał w czasie jednej ze swych wypraw książe szwedzki. W północnych okolicach jeziora Edwarda ma przebywać olbrzymi gatunek hipopotama, dwakroć większy od dotychczas spotykanego, a w pobliskich górach żyje podobno mały słoń, wielkością nie przerastający muła. Ekspedycja pułk. H. R. Fenna ma nadzieję zbadać te nieznane gatunki zwierząt.

Czy uda jej się natrafić na wielkiego słonia o kilku trąbach, o którym krążą uporczywe wieści wśród murzynów — jest rzeczą wątpliwą, gdyż przyrodnicy bardzo sceptycznie zapatrują się na możliwość istnienia takiego fantastycznego dziwoląga.

Pułk. Fenn nie wątpi jednak, że informacje murzynów, acz prawdopodobnie przesadzone, opierają się w części na faktach prawdziwych.

Ciekawa statystyka.

Uczony francuski, R. P. Gibert podaje ostatnie wyniki statystyczne, dotyczące obecnego rozpowszechnienia rozmaitych religij na obszarze całej kuli ziemskiej. Oblicza on ludność całego świata na 1.700 miljonów, z tego przeszło miljard, bo 1.012 miljonów stanowią wyznawcy innych religij poza chrześcijańską. Z pomiędzy tych ostatnich 785 miljonów przypada na wyznawców rozmaitych kultów religijnych prymitywnych, których obejmuje jedną nazwą „pogan": stanowi to prawie połowę rodu ludzkiego. Pomiędzy pozostałemi religjami prym dzierży katolicyzm, następne miejsce zajmują muzułmanie, dalej idą protestanci, prawie dorównujący liczbowo swym poprzednikom, mniej liczni są schizmatycy rozmaitych odcieni (prawosławni, kalwini i t p.), wreszcie ostatnie miejsce zajmują żydzi w liczbie 15 miljonów.

Czterooki ptak.



W dziewiczych lasach nad Amazonką odkryto ptaka czterookiego. Narazie ptak ten nie posiada jeszcze nazwy. Może kto z naszych czytelników ma jakiś szczęśliwy pomysł?

Pies morski.



„Pies morski" — foka, jeden z nielicznych okazów w niewoli — zabawia się dziwaczną gimnastyką podczas posiłku, starając się zapewne postać swą uczynić pełną wdzięku i gracji. Zdjęcie zostało wykonane w zwierzyńcu Karola Hagenbecka w Stellinger.

W paru wierszach.

Niedaleko portu Ujacutia w Salwadorze znajduje się wulkan, który zastępuje w zupełności latarnię morską. Z nadzwyczajną regularnością wyrzuca on z siebie co 7 minut masy płonącej lawy, które w dzień służą okrętom jako punkt orjentacyjny w postaci kłębów dymu, w nocy zaś — jako niezawodny „słup ognia".

Skóra południowo-afrykańskich tubylców jest $1^1/_2$ razy grubsza od skóry Europejczyków

---

Olbrzymie mrówki należą w Afryce do najniebezpieczniejszych owadów. Maszerują one wąskiemi, ale długiemi — bo na całe mile się ciągnącemi — rzędami, i przemarsz ich trwa czasami do 12 godzin. Wszelkie żyjące stworzenie, które im zastępuje drogę, zostaje napadnięte i pożarte, nie wykluczając takich mocarzy, jak lwy i lamparty, które również nie mogą się oprzeć przemocy. Tubylcy usiłują chronić się przed niemi do pobliskiego jeziora lub rzeki, co niezawsze bywa uwieńczone powodzeniem.

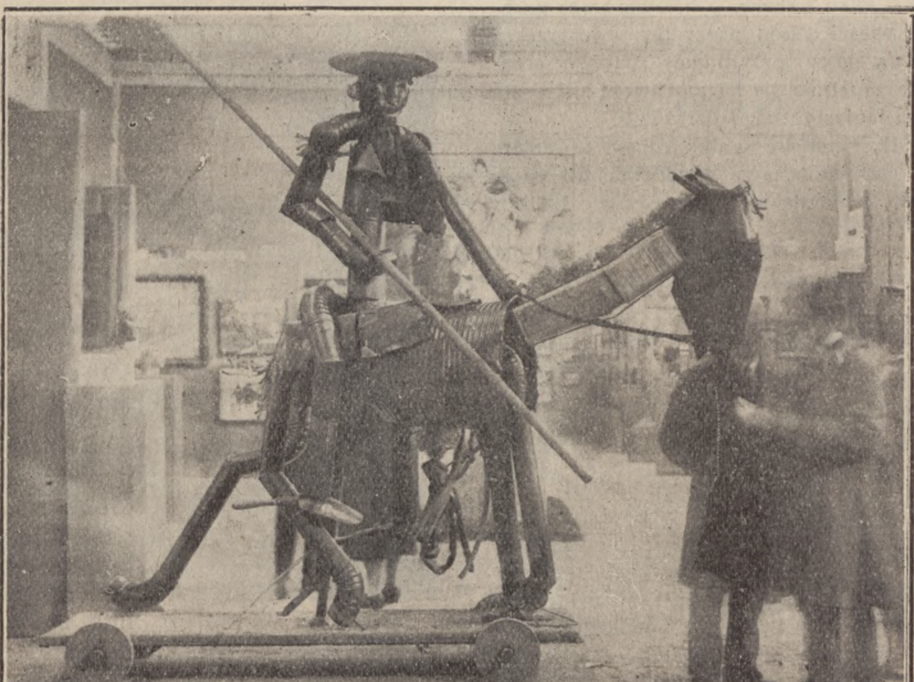
Znany pisarz angielski, Rudyard Kipling padł niedawno temu ofiarą jakiegoś oszusta, który przesłał do jednego z większych dzienników angielskich wiersz pod tytułem „Stara gwardja", podpisawszy go nazwiskiem znanego poety.

Kipling nie okazał jednak zbytniego oburzenia — powiedział tylko: „Ten wiersz jest okropny". Na co redaktor odrzekł: „Byliśmy tego samego zdania, ale pomieściliśmy go, sądząc, że to Pański utwór".

Niedźwiedź spędza zimowe miesiące w swem leżu, nawpół śpiąc, nawpół czuwając, bez pożywienia. Niedźwiedzica również nie przyjmuje pokarmów, ale mimo to — rodzi małe i karmi je.

Najsilniejszy człowiek na świecie nie potrafi rozgnieść kurzego jaja, wstawionego pomiędzy palec wskazujący i wielki—śpiczastym i przeciwległym mu biegunami.

W cyrku w New Jersey (Ameryka) trzy słonie tak się przestraszyły myszy, która dostała się do ich klatki, że roztrzaskały kraty i wybiegły na ulicę. Było kilka wypadków.



„Don Kiszot z... rury" — na wystawie „Salonu Niezależnych" w Paryżu.

Knud Rasmussen

Niezwykła przygoda.

Znany podróżnik i badacz śnieżnej wyspy Grenlandji, Knud Rasmussen, powróciwszy z dalekiej wyprawy, opisuje niezwykłą przygodę, jaka przytrafiła mu się w zatoce Melville:

Opowiem o najciekawszej może z moich przygód, kiedy dziwne i nieprzewidziane okoliczności tak się ułożyły, że musiałem walczyć o życie, mając za towarzysza niedoli niedźwiedzia.

Było to podczas długiej nocy polarnej. Burza, szalejąca od kilku tygodni, zmusiła nas, t. j. mnie i towarzysza mego, Eskimosa Kwolutangaka do bezczynnego wyczekiwania w małej chatce, zlepionej ze śniegu. Kiedy burza wreszcie ustała, nasze zapasy żywności miały się już ku końcowi. Do najbliższej siedziby ludzkiej było bardzo daleko; jedyną zwierzyną, na którą o tej porze roku mogliśmy polować, były niedźwiedzie polarne.

Wyruszyliśmy tedy o świcie. Psy, wypoczęte podczas burzy, mknęły chyżo. Ogony zadarte do góry, niczem sztandary bojowe, i niezwykła rzeźkość ruchów wskazywały, że psy, kierowane instynktem, zrozumiały już, że tu chodzi nie o zwykłą, nudnawą podróż, że tu będzie walka o mięso.

Odjechaliśmy już dość daleko od miejsca naszego postoju, lecz nie zauważyliśmy nigdzie świeżych śladów zwierzęcych. Naraz psy szarpnęły gwałtownie naprzód. Ostry, ciepły zapach zalatywał w powietrzu; sanie pomknęły teraz z zawrotną szybkością, podskakując co chwila do góry, jak pusta beczka. Wiedzieliśmy, że tylko obecność niedźwiedzia może doprowadzić psy do takiego szaleństwa. Rzeczywiście, dostrzegliśmy niebawem świeże ślady, wielkie i głębokie. Ale niedźwiedź widocznie już zauważył coś podejrzanego; olbrzymie odstępy między śladami świadczyły,że ucieka on szybko w kierunku gór lodowych, które wznosiły się w odległości dwóch mil, niedaleko od brzegu.

Ścigane przez myśliwego, niedźwiedzie zawsze szukają ratunku na jakiejkolwiek górze lodowej, gdzie psy nie mogą ich prześladować. Dzięki ostrym pazurom, niedźwiedź potrafi wdrapać się na zupełnie gładką, pionową ścianę lodową. Jeden jedyny raz tylko widziałem, jak oberwał się niedźwiedź, który wdrapał się już prawie na wierzchołek. Padając, złamał sobie tylną nogę, ale zdołał jeszcze przebić dziurę w lodzie i ukryć się.

Trzeba było zatem jak najprędzej dogonić niedźwiedzia, póki jeszcze biegł po gładkim lodzie. Niestety, psy Kwolutangaka oszalały zupełnie, tak że nie mógł już kierować niemi; po chwili, zwartą masą, mknęły w kierunku wręcz odwrotnym. Z moim zaprzęgiem rzecz miała się inaczej. Gwizdnąłem przeciągle — był to mój sygnał „niedźwiedzi", — i dwanaście głodnych i rozwścieklonych psów puściło się w pogoń za szybko uciekającym wrogiem. Teraz miałem odczepić od zaprzęgu cztery najlepsze psy; było to zadanie niełatwe, zważywszy na zawrotną szybkość, z jaką pędziliśmy po chropowatej powłoce lodowej. Udało mi się jednak i po chwili psy pomknęły chyżo w ślad za niedźwiedziem.

Psy polarne przy polowaniu na niedźwiedzia stosują zawsze jednakową taktykę: napadają na niedźwiedzia ztyłu; wtedy musi on usiąść na śniegu, żeby przynajmniej niektóre części ciała zabezpieczyć przed ostremi kłami. Siedząc na śniegu, wymachuje przedniemi łapami, w ten sposób odpędzając napastników.

Przełomowy moment tego karkołomnego polowania nastąpił, kiedy zobaczyłem niedźwiedzia. Jednem uderzeniem noża przeciąłem postronki, trzymające resztę psów. Psy pomknęły, jak wiatr; ja zaś z karabinem w ręku pobiegłem wślad. Byłem w odległości zaledwie sześciu metrów od niedźwiedzia, kiedy mię nareszcie spostrzegł. Podniósł się na tylnych łapach. W tej pozycji stał kilka sekund, przyglądając się nowemu napastnikowi i głęboko wciągając w płuca mroźne

powietrze. Potem, jednym olbrzymim skokiem przeskoczył przez psy i całym ciężarem ciała, całą siłą natężonych muskułów runął na lód. Chciał przebić dziurę w lodzie, żeby się tam schronić; wiedział bowiem dobrze, że psy i ja musimy pozostać na lodzie; on natomiast swobodnie może poruszać się w wodzie.

Przejrzałem jego zamiary; tak już przywykłem w mojej praktyce myśliwskiej do tego „tricku", ze nie przeraził mnie wcale; podziwiałem tylko piękność i moc tego niebywałego skoku. Wiedziałem, że niedźwiedź najpierw da nura, żeby trochę się ochłodzić, ale wkrótce będzie musiał wypłynąć na powierzchnię wody. Czekałem na ten moment, żeby wówczas strzelać.

Zdarzyło się jednak coś zgoła nieprzewidzianego. Skorupa lodowa była bardziej cienka, niż przypuszczałem. W momencie, kiedy lód pękał pod ciężarem niedźwiedzia, rozległ się trzask; skorupa lodowa zarysowała się we wszystkich kierunkach, i zanim zdążyłem odskoczyć, zanurzyłem się w wodzie po szyję.

Z trudem dopłynąłem do krawędzi lodu i usiłowałem wdrapać się na śliską powierzchnię. Jednakże skorupa lodowa była zbyt cienka, aby wytrzymać ciężar mego ciała. Wciąż pękała i kruszyła się na nowo. Wtenczas myśli moje zwróciły się ku niedźwiedziowi, który pływał obok mnie.

Byłem zupełnie bezbronny, starałem się tedy trzymać jak najdalej od niebezpiecznego sąsiada. Ale wkrótce dostrzegłem z uczuciem ulgi, że jest on przestraszony nie mniej ode mnie. Usiłowałem znowu wgramolić się na brzeg tej lodowej pułapki, lecz próżne były wszelkie wysiłki. Podczas tej rozpaczliwej walki o życie nie spuszczałem oczu z niedźwiedzia; muszę wyznać szczerze, że bałem się okropnie. Rzeczywiście, wyglądał on tak, jakby lada chwila chciał rzucić się na mnie. Nie mogłem się poruszyć, żeby nie zaczął zgrzytać zębami i ryczeć w straszliwy sposób. Musiałem zachowywać się spokojnie.

Zimna woda ochłodziła mi wkrótce krew; dziwny owładnął mną spokój. Zacząłem obserwować dziwnego towarzysza, nie zdając sobie narazie z tego sprawy. Nie przypuszczałem nigdy, żeby oczy niedźwiedzia mogły być tak pełne wyrazu. Najpierw dostrzegłem w nich strach tylko i zaciekłość, ale zwolna, gdy się coraz więcej z moją obecnością oswajał, zaniechał pokazywania mi swych zębów. Prawie, że mogłem czytać w jego myślach. Przypatrywał się kolejno, to psom, to mnie i zdawał się dziwić, że ja także wskoczyłem do wody. Wiedział teraz, że nic złego nie chcę mu uczynić. Mógłby jednym skckiem dostać się na lód, ale z obawy przed szczekającemi psami zaniechał zamiaru. A że ja także nie wydostałem się na lód, pomyślał pewnie, że z tej samej. co i on, przyczyny.

Gdy w swych wnioskach tak daleko zaszedłem, miałem uczucie, że niedźwiedź mię zrozumiał i współczuł mi. Obracał ku mnie swoją wielką głowę zupełnie spokojnie i widziałem, że wyraz jego „twarzy" był życzliwy. — I ku memu wielkiemu zdumieniu, jął zwolna poruszać się w moją stronę, jakgdyby u mnie szukając obrony.

Teraz był tylko o dwa metry oddalony ode mnie i kiedy ja czułem się z jego strony zupełnie bezpieczny, psy mogły się nań rzucić i skierować nagle jego wściekłość ku mnie. Postępując za głosem natchnienia, krzyknąłem na nie z całych sił, aby odeszły nieco; usłuchały, cofnąwszy się trochę i czekając.

Niedźwiedź odzyskał spokój i nastąpiło teraz coś, czego nigdy nie zapomnę: oto zrozumiał, że odpędziłem jego prześladowców i skinął mi głową przyjaźnie. Tak! Nie mogłem się mylić: w jego oczach był wyraz wdzięczności, ten wyraz, który tak często widziałem u swych psów, gdy głaskałem je, lub czyniłem coś, co je cieszyło. Trudno zresztą byłoby mi opisać ów wyraz „twarzy" tego drapieżnego niedźwiedzia, ale żaden człowiek, przyzwyczajony do obcowania ze zwierzętami, nie mógłby wątpić, że nawet dzikie zupełnie zwierzęta potrafią wyrazić swą wdzięczność.

Ja zaś (jak wszyscy zresztą ludzie, znajdujący się w walce ze śmiercią, którzy zaprzysięgają dopełnienia rozmaitych rzeczy, jeśli wyjdą z opałów) przysięgałem szczękając z zimna zębami, że dołożę wszelkich, możliwych starań, by niedźwiedziowi temu uratować życie i wrócić mu wolność,

Byłem w wodzie nie więcej, niż 20 minut; ale mróz sięgał 25 stopni, i dlatego każda minuta zdawała się być wiecznością. Już straciłem wszelką nadzieję ratunku, gdy, najniespodziewaniej w świecie, w odległości dwustu

metrów ode mnie zjawił się Kwolutangak ze swym zaprzęgiem. Ujrzawszy mnie w wąskiej przerębli obok niedźwiedzia, aż zawył z przerażenia. Zeskoczył z sanek i biegł wprost do mnie. Zrozumiałem, że jestem uratowany. Był czas najwyższy, aby pomyśleć o uczynionem ślubowaniu:

— Nie zabijaj niedźwiedzia... Nie zabijaj niedźwiedzia! — krzyczałem.

Zęby moje szczękały, krzyk zaś był podobny do nieartykułowanego wycia. Musiałem powtórzyć to kilkakrotnie, zanim zrozumiał, o co chodzi. Zrazu zdziwił się bardzo (pomyślał napewno, że ze strachu dostałem pomieszania zmysłów), wreszcie jednak zrozumiał i krzyknął uspokajająco:

— Nie, nie, wpierw ciebie wyciągnę, oczywiście!

Spuścił psy ze smyczy; te rzuciły się na niedźwiedzia, ja zaś zdołałem tymczasem pochwycić koniec linki, którą Kwolutangak rzucił do przerębli. Umocowałem linę do pasa; Eskimos wyciągnął mnie na brzeg. Skoro tylko wynurzyłem się z wody, mróz chwycił moje nieszczęsne ciało w żelazne kleszcze; straciłem przytomność. Ocknąłem się w moim wózku sypialnym. Było mi ciepło i przyjemnie. Uśmiechnięty Kwolutangak podawał mi szklankę herbaty, z której buchała para. Pierwsza myśl moja była — o niedźwiedziu:

— Niedźwiedź, gdzie jest niedźwiedź..?

Eskimos roześmiał się serdecznie:

— Nie troszcz się pan o niedźwiedzia: już dawno obdarłem go ze skóry.

Tłum. *B. G. S.*

HUMOR

Na lekcji historji.

Uczeń Kados, zapalony sportowiec, na lekcji historji czyta pod ławką w kurjerze sportowym o meczu „Ateny" — „Sparta". Naraz rozlega się głos profesora.

— „Kados! Powiedz nam, jaki był wynik wojny między Atenami a Spartą".

Kados, zrywając się z miejsca:

— Zero na zero, panie psorze!

Nad. ROMAN NAWROCKI (Tomaszów Mazow.)

Po egzaminie.

Matka do syna: — Któż cię egzaminował, synu?

Syn: — Nie wiem, ale to musi być pobożny człowiek, gdyż podczas mego zdawania ciągle wołał, łapiąc się za głowę: „O Boże! Boże!".

Ma rację.

Matka czyta świadectwo: „Pilność dobra, sprawowanie nieodpowiednie!" Słuchajno— powiada oburzona — sprawowanie powinno być dobre!

— Niechże mama powie to nauczycielce ja przecież nie piszę świadectw!

Na lekcji religji.

Ksiądz tłumaczy dzieciom, że kto jest dobry, ten pójdzie do nieba. Potem zapytał, kto pragnie dostać się do nieba, a na to pytanie wszyscy podnieśli ręce do góry. Tylko mały Janek pozostał niewzruszony.

— Cóż to, Janku, czyżbyś naprawdę nie chciał iść do nieba? — zapytał go ksiądz.

Janek rzucił ponure spojrzenie na klasę i zamruczał:

— Z taką bandą nie!

Nad. KAZIMIERZ BERNSTEIN (Warszawa).

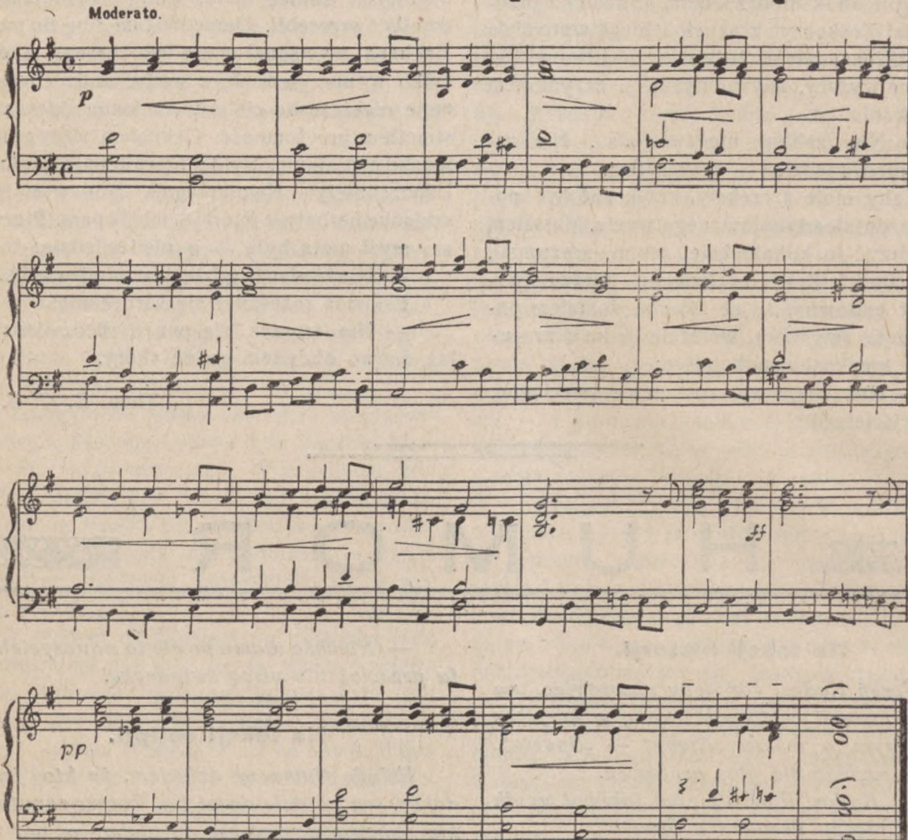
W szkole.

Nauczyciel: Iwanicki! wymień wszystkie kości czaszki.

Uczeń (do siebie): To dziwne! mam je wszystkie w głowie i nie mogę sobie przypomnieć ich nazwy!

Nad. ROMAN K. (Warszawa).

Konkurs na piosenkę.



Redakcja „Mego Przyjaciela“ ogłasza konkurs na tekst do powyższej melodji, odpowiedni do chóru, uczniowskiej bibki, wycieczki i t.p.

Nagroda: **Dr. Rajz — Historja muzyki**

Errata: W ostatnim wierszu, 3-ci takt klucza basowego: zamiast nuty fis ma być nuta G.

Z KSIĄŻEK.

J. H. Rosny. „WALKA O OGIEŃ“ (Wydawnictwo Biblj. Groszowej).

W zamierzchłych czasach przedpotopowych żyje horda ludzi. Wśród ciągłych trudów i niebezpieczeństw, w ciągłej walce z potężniejszemi od nich zwierzętami jedynem dobrem jest Ogień, który ich ochrania i ogrzewa, który podtrzymują pieczołowicie, lecz którego skrzesać w potrzebie jeszcze nie umieją. Napadnięci i rozgromieni przez inną hordę, ludzie w ucieczce tracą Ogień. Przetrzebiona przez ludzi, nękana zimnem i ustawicznemi napadami dzikich zwierząt, rozzuchwalonych brakiem Ognia, który je oślepiał i przerażał, horda zaczyna wymierać. Wtedy kilku najdzielniejszych wojowników wyrusza, by zdobyć go dla swej hordy. Po długiej wędrówce i przezwyciężeniu tysiącznych niebezpieczeństw wysłannicy wykradają innej hordzie Ogień i zdobywają umiejętność krzesania go.

Powieść tę trudno nazwać fantastyczną. Jeżeli uwzględnić podkład naukowy, na którym się fantastyczna fabuła opiera — trzebaby nazwać tę książkę raczej powieścią naukową. Książka ta ukazuje nam świat przedpotopowy taki, jakim — w-g obecnych danych naukowych — był on istotnie. Książka pisana jest z właściwą autorom francuskim łatwością i polotem, dzięki czemu z zupełnem powodzeniem może być czytana przez młodzież, której mózgi zapłodni wizją zaginionego świata i pobudzi do myślenia. Ponieważ autor mało jest u nas znany, nie od rzeczy będzie wspomnieć, iż jest on laureatem Akademji Goncourt'ów i kandydatem do nagrody Nobla w dziale literatury.

Bruno Winawer „BOCZNA ANTENA“ (Nowe wydanie nakładem Bibljoteki Groszowej).

„Boczna antena“ zyskała już zasłużoną sławę. Jest unikatem, białym krukiem — i to nietylko w literaturze polskiej. Głośny feljetonista opowiada nam tu z werwą i niezwykłym talentem narracyjnym o tem, co się dzieje w zaczarowanych ogrodach dzisiejszej Nauki i Techniki. Mówi o ludziach na Marsie, o rozmiarach kosmosu, o inteligentnych owadach, czujących, wrażliwych roślinach, o promieniach niewidzialnych, o falach elektrycznych, o samolotach przyszłości, o balonach metalowych, atomach, radjostacjach, plamach na słońcu, o wieku ziemi, elektronach i teorji Einsteina.

Wspaniałą tę książkę winien każdy przeczytać.

K. Dickens „DWA MIASTA“ Wydawnictwo Biblj. Grosz.

Książka ta — ciekawa i piękna — osnuta na tle Wielkiej Rewolucji Francuskiej więcej powie o niej młodzieży, niż suchy podręcznik historji. Zamiast kilku dat i faktów daje obraz tego wielkiego przewrotu, pozwoli — co ważniejsza — zrozumieć jego przyczyny i sens istotny.

K. Dickens. DAWID COPPERFIELD.

Książka stara, a zawsze czytana z przyjemnością i nigdy nie wyzbyta ze swych walorów artystycznych. Kształcili się na niej ojcowie nasi, kształćmy się i my.

Radjosłuchacze uwaga!

Redaktor „Gazetki Bezdrutowej“ dr. Marjan Stępowski przystępuje do wydania miłych i niezwykle interesujących „Radjokronik“. Jesteśmy pewni, że szeroki ogół radjoamatorów z radością powita tę miłą zapowiedź, lecz nie każdemu wiadomo, że wydanie tej książki zależne jest od ilości reflektantów. Przeto wszyscy, pragnący się czegoś nauczyć i mile spędzić czas, winni kierować swe zgłoszenia (bez przedpłaty) do Polskiego Radjo-Klubu, Warszawa, Rymarska 16.

Ponieważ „Radjokroniki“ są niezwykle ciekawą i pouczającą lekturą nietylko dla radjoamatorów, polecamy je gorąco wszystkim naszym czytelnikom. Zgłoszenie winno brzmieć krótko: — Reflektuję na „Radjokroniki“ — obok należy podać nazwisko i dokładny adres.

Rozrywki umysłowe

Zadanie 1.

+	+	+	+		−	−	−	−

W stajni znajduje się 9 żłobów, stojących rzędem obok siebie; przy pierwszych czterech stoją białe konie (+), w pozostałych 4 kare (—), przyczem żłób środkowy jest wolny.

W jaki sposób należy przestawić konie białe na miejsce karych i odwrotnie, zachowując następujące warunki: każdy koń może się poruszać tylko w jednym kierunku (białe ku karym i kare ku białym), nie może wracać na poprzednie miejsce, posuwa się o jedno najbliższe pole lub poza nie przeskakuje, przyczem przy każdym żłobie może stać tylko jeden koń.

Logogryf sportowy.

ułoż. *Franciszek Grochocki* (Łomża).

A A A A A A A
A A A A B C C
C C C D D E E
E E E E E E E
E E G H H H I
I I I I J K K
K L L L L L Ł
M M N N N N N
N N O O O O O
O O O O O P P
P P P P P R R
R R R R R R R
R S S S S S S
T T T T U U W
W Y Y Y Z Z Z

Znaczenie nazwisk:

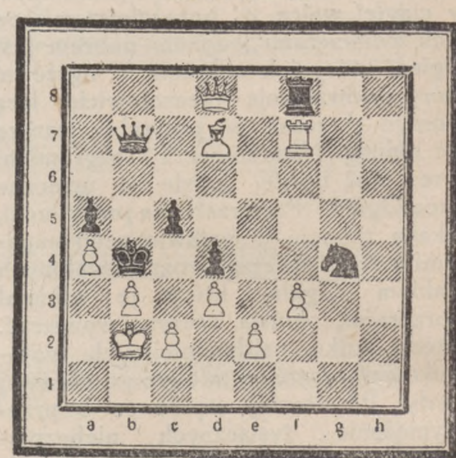
1. Biegacz polski.
2. Uczestnik „turnieju szóstkowego.
3. Mistrz Europy w boksie.
4. Narciarz polski.
5. Mistrz w sprincie, amerykanin.
6. Bieg długi.
7. Miejscowość słynna ze skoczni w Polsce.
8. Słynny tennisista.
9. Doskonała drużyna piłki (angielska).
10. Polski klub sportowy.
11. Słynny bokser.
12. Jeden z najlepszych naszych koni
13. Przyrząd lekko — atletyczny.
14. Miłośnik „sportu okrągłego."
15. Biegacz polski.

Z powyższych liter ułożyć 15 wyrazów, wtedy rząd środkowy da imię i nazwisko polskiej gwiazdy sportowej.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 28 maja r. b.

KĄCIK SZACHISTY.

Zadanie 2.



Białe rozpoczynają i dają mata w dwu posunięciach.

(Białe: Kb2; Dd8; Wf7; Gd7; Pa4, b3. c2, d3, e2, f3,

Czarne: Kb4; Db7; Wf8; Sg4; Pa5; c5, d4)

Nietrudne, ale bardzo ładne zadanie.

Rozwiązanie zadania z № marcow.

Gdyby handlarki nie zmieszały wszystkich jabłek, to aby sprzedać 5 jabłek za 10 groszy, powinny za każdym razem wyjmować z jednego kosza 2 jabłka (które sprzedawano za 5 groszy), a z drugiego 3 jabłka (z gatunku 3 jabłka za 5 groszy) i takie 5 jabłek sprzedawać za 10 groszy. Wobec tego, że w każdym koszu było po 30 jabłek, to z I kosza można było wyjmować po 2 jabłka 15 razy (30 : 2), a z II — po 3 jabłka tylko 10 razy (30 : 3). A więc pozostałe 10 jabłek lepszego gatunku handlarka sprzedała za 20 groszy, podczas gdy kosztowały one 25 gr. (bo sprzedawała 2 jabłka za 5 groszy). W ten sposób wobec braku gorszego gatunku jabłek, handlarki straciły 5 groszy, a wobec tego, że brak ten mnsiały pokryć jabłkami lepszego gatunku, ogólny targ z tych jabłek wykazał brak 5 groszy.

Rozwiązanie sofizmatu z № 2.

Rzecz polega na tem, iż $AC \cdot AD - AB^2 = O$, czyli $AC \cdot AD = AB^2$ albo $AC : AB = AB : AD$, co wynika właśnie z podobieństwa trójkątów.

Dobre rozwiązania sofizmatu (S) i zadania (3) z numeru drugiego „M. P."

Lina Sokalówna, (Skole) S.; Zygmunt Grala (Środa) S. 3. Leon Kral (Zduńska Wola) 3. „Cegies" (Warszawa) 3. Roman Nawrocki (Tomaszów-Maz.) S. J Rettin (Warszawa) 3. Maks Kimelman (Warszawa) 3. R, Kupersztajn (Warszawa) 3. Czesław Kozłowski (Warszawa) S. 3. Kubicki (Środa) S. Jan Kowalski (Warszawa) 3. H. Buchman (Turka n/Str.) 3. F. Grossmanówna (Turka n/Str.) 3. Bolesław Rybczyński (Sandomierz) S. Mirjam Szyndelmanówna (Wilno) 3. S. B. Lebek (Ostrowiec) 3. S. Janusz Wernik (Kielce) 3. Wincenty Kozarczyk (Ostróg) 3. Kazimierz Czechowicz (Zamość) 3. Stan. Rozmysłowicz (Będzin) 3. S. Leon Glaszmidt (Warszawa) 3. Anatoljusz Naumienko (Wołkowysk) 3. S. Jakób Berkowicz (Warszawa) 3. E. Lewartowski (Kielce) 3. R. Karczewski (Lipno) 3. Camillo Dornfest (Rzeszów) 3. Sz. Herszzon (W-wa) 3. S. Henryk Gawroński (Kielce) 3. R. Krzywosiński (Lipno-Warsz.) 3. Stan. Morek (Łuków) 3. M. Czosnek (Mława) 3. M. Mrowicki (Środa) 3. S.

Nagrody otrzymali:

Czesław Kozłowski (Warszawa), **Zygmunt Grala** (Środa), **Anatoljusz Naumienko** (Wołkowysk), **Mirjam Szyndelmanówna** (Wilno), **Stanisław Rozmysłowicz** (Będzin).

Wynik konkursu z Nr. lutowego.

KONKURS I.

Franciszek Grochocki (Łomża) — I nagr.
Leon Borowski (Warszawa) — II nagr.
Juljan Becher (Warszawa) — III nagr.
J. Hermanowicz (Wilno) IV nagr.
Edyta Kufflówna (Tczew) V nagr.
St. Stygar (Dąbrowica pow. Sarny) VI nagr.

KONKURS II.

Ludwik Abramowski (Jabłonna)— I nagr.
Stanisław Kowalski (Łódź) — II nagr.
Al. Józef Trafas (Gostyń Pozn.) III nagr.
Kazimierz Bernstein (Warszawa)—IV nagr.
Roman Nawrocki (Tom. Maz.) — IV nagr.

Turniej Międzyszkolny.

Na prośbę wielu komitetów klasowych postanowiliśmy przedłużyć termin nadsyłania rozwiązań (z działów: „Zastanów się" i „Rozrywki umysłowe" w numerze kwietniowym) do dnia 26 maja.

Na podstawie dotychczas nadesłanych rozwiązań wyrobiliśmy sobie niezbyt pochlebne o współzawodnikach zdanie, nikt bowiem nie uzyskał maksymalnej liczby punktów. Mamy nadzieję, że następne rozwiązania będą lepsze!

Głos czytelnika

„Precz ze stopniami" „Żądamy wolnego dnia w tygodniu! „Pragniemy wycieczek!"

— oto hasła, zawarte w znacznej większości listów, przysłanych do Redakcji. Czekamy, co jeszcze powie nam „głos czytelnika", tymczasem zaś przyjmujemy i rozważamy wszystko, cokolwiek tylko otrzymamy w tej materji. Wstrzymując się narazie od uwag na temat zbyt może rewolucyjnych dążeń, nie chcemy krępować naszych czytelników, „dopuszczonych do głosu" i zachęcamy do dalszego nadsyłania projektów w dziedzinie reformy.

Składajcie żale, skargi i projekty w „głosie czytelnika". Bolączki wasze — są naszemi bolączkami!

Dajcie nam trochę swobody!

Najwięcej mi się podobał w ostatnim numerze M. P. „Mój wywiad" Strasznie się śmiałem, czytając wywody Imci Pana Pały, alem jednocześnie sobie pomyślał, że to wszystko razem nie jest tylko śmieszne, bo kryje w sobie dużo prawdy, tej prawdy, co nas boli i dolega. To też postanowiłem skorzystać z wezwania Pana Redaktora i wypowiedzieć się w tej sprawie.

Oczywiście, nie będę krytykował poglądów pana Pały na naukę poszczególnych przedmiotów, bo ostatecznie na serjo brać ich przecież nie można, ale co naprawdę, mojem zdaniem, dobrzeby podziałało na nas, uczniów, to właśnie inny sposób nauczania, inna atmosfera w szkole. Najgorsze przecież w szkole to nie to, że się trzeba uczyć (bo ostatecznie nikt z nas taki głupi nie jest, by nie rozumiał, że bez tego ani rusz w życiu) ale to, że uczysz się na rozkaz, na zawołanie. Musisz. Choćbyś pękł, choćby Ci się dusza rwała do słońca, do piłki, do kolegów, do radja, które sobie sporządzasz sam i masz z niem wiele kłopotów — nic to! W szkole — postawią Ci koła albo sypną naganę, przyjdziesz do domu — zaczną się napominania a utyskiwania matki, ojca, brata: a nicponiu, a takiś ty, owaki, a zbijasz bąki tylko, a do nauki, do pracy... A przecież jednak bywa tak, że nauka do głowy nie wchodzi i tylko człowiek siedzi przy tym stole, kiwa się na wszystkie strony, czas traci po próżnemu. Gdyby to tak można było odpowiadać wtedy, gdy się chce i uczyć się wtedy, gdy można, bez tego strachu, że zaraz kół lub dwója! A przecież na uniwersytetach uczą się ludzie, kiedy zechcą i choć ich nikt nie nagania, trzeba tylko, by nas przedmiot zachęcił, i by nauczyciel nie groził, by nie karał za bylejakie zapomnienie, by zrozumiał — by poczekał aż przejdzie moment i kiedy sami weźmiemy się do pracy. Ale cóż, kiedy im wcale o to nie chodzi, by nas zachęcić do roboty, bo i pocóż ochota — kiedy jest mus! A przecież tam, gdzie nas nikt nie straszy, nie zmusza, nie grozi — tam właśnie

uczymy się sami, z ochotą i fantazją! Najlepszym dowodem — zastępy harcerskie, gdzie wśród gier i zabaw, bez przymusu, z samego tylko poczucia obowiązku i własnej chęci pracujemy. Pozwólcie nam czasem nie być pilnymi, panowie profesorowie!

Zrozumiejcie, że też jesteśmy ludzie, że możemy mieć w danej chwili głowę zaprzątniętą czem innem.

Dajcie nam trochę swobody, trochę możności rozporządzania swoim czasem — a zobaczycie, że będziemy lepsi, niż teraz. Będziemy tylko umieć w piątek to, co było na poniedziałek, ale nauczymy się — tylko bez gwałtu i stopni!

Mógłbym więcej jeszcze napisać, ale wolę zobaczyć, jak w tej sprawie wypowiedzą się moi koledzy.

T. Nowakowski, ucz. kl. 6
(Warszawa)

O czem zapomniał Pała?

Jan Kanty Pała ma rację, kiedy domaga się zmiany metody nauczania. Ja narazie o tej metodzie tobym zamilczał, a wskazał Pale, że w wywodach swoich zapomniał o jednej bardzo ważnej rzeczy, o wycieczkach szkolnych. Jest wiosna. A na wiosnę zawsze się ciężej jest uczyć. Człowiek radby się wyrwać na kawałek pola, zobaczyć trochę zielonego świata i odetchnąć okruchem czystego powietrza. A tu siedzieć trzeba po 6 godzin w szkole, po drugie 6 w domu! Domagam się częstych wycieczek za miasto! Może wtedy nie robilibyśmy ich tak wiele na własną rękę i nie karanoby nas za wagary.

Chcemy słońca! Chcemy swobody!

St. K — i, ucz. 7 klasy (Łódź)'

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie mogę się powstrzymać poprostu, aby nie wyrazić swojej radości i podziękowania: chociaż jedno pismo zajmuje się sprawami ucznia i do głosu go dopuszcza! Wszyscy opowiadają tylko dużo, każą wypełniać skrupulatnie rozmaite regulaminy, strofują i zrzędzą (a to to, a to tamto), a nikomu nie przyjdzie do głowy zatroskać się o to, co tam uczeń powie o swoim stosunku do szkoły.

Że należy całkowicie zmienić metodę nauczania — to odrazu godzę się na to z panem Pałą. Ale jak? Ano, nie należy nas przedewszystkiem przeciążać i przeładowywać pracą. Kiedy już zostałem dopuszczony do głosu, to krzyknąć mi się chce: „Nie zadawajcie na poniedziałki i „po święta" dużo lekcyj, że wytchnąć nie można, bo my też chcemy się zabawić trochę, lub odpocząć.

Aż mi się lżej zrobiło, kiedy zrzuciłem to z siebie. Sz. Panu Redaktorowi dziękuję w swojem i swoich najbliższych kolegów imieniu, że się nami zainteresował i pozwolił nam się wypowiedzieć.

Z należnym szacunkiem
Z. Jabłoński (Wilno)

Projekt.

Podaję projekt, by prenumeratorzy mogli się za pośrednictwm „Mego Przyjaciela" zamieniać np. monetami, pocztówkami, znaczkami i t. d. w następujący sposób. Prenumerator (który chce się z drugim zamienić) musi podać do Redakcji „M. Prz." informacje własne np. miejsce zamieszkania i ulicę, wiek, nazwisko i t. p. i co dany prenumerator zbiera. A Redaktor ma o nim w „M. P." napisać. Podaję dla przykładu moją informację:

Informacje własne:
Mojżesz Fo giel
Międzyrzec k/Ł, ul. Warszawska 61
wiek: $14^1/_2$
uczeń klasy IV gimn. koeduk. (w temże mieście)
zbieram monety.

Propozycję powyższą uwzględnimy, jeśli znajdzie ona poparcie prenumeratorów.

Skrzynka pocztowa

M. Argonauta w Olkuszu. Ne chodziło o zwrot sam, lecz o ujęcie treściowe. O dwóch przysłanych wierszykach da się to samo powiedzieć, co o pierwszym. Nieopanowany język, styl miejscami chropawy. Rymy płaskie (lasy — czasy; trąca — zmąca). Zalety, to; swada liryczna i wnikliwe podpatrywanie zjawisk. Proszę przeczytać „Formę dźwiękową" — Wójcickiego—gdyż strona zewnętrzna utworów nezadowalająca, „Motyw ludowy" — lepszy, gdyby nie zbyt widoczne reminiscencje z mickiewiczowskiej „Romantyczności" (może podświadomie). Dziękujemy za zaufanie i zapewniamy, że i nadl trakt. będziemy życzliwie nads. utwory.

Klasa VI Gimnazjum Klasycznego w Grudziądzu. Życzenia, dotyczące Turnieju Międzyszkolnego, chętnie uwzględnimy.

M. F—l. — Międzyrzec. Gdybyśmy każdemu czytelnikowi odpowiadali, czy nadesłane zadanie dowcip i t. p. zostaną zamieszczone, zabrakłoby w Warszawie papieru drukowego.

Leon Gr. (Rzeszów). Patrz wyżej.

Daniel Wasilkowski (Białystok). Przekazaliśmy Administracji. Dziękujemy serdecznie za zwerbowanie licznych prenumeratorów. Gdyby wszyscy sympatycy naszego pisma, zasypujący nas miłemi listami (które zresztą są dla nas bardzo cenną zachętą) chcieli, jak Pan, czynem poprzeć swój organ, „Mój Przyjaciel" oddawna już zamieniłby się na tygodnik.

Alfred Lutw. — Kraków. Artykulik Pański, w którym między innemi wzywa Pan do dokonania... przewrotu w Redakcji „Mojego Przyjaciela", napawa nas niemałą trwogą. Ale cóż robić, przyrzekliśmy „swobodę słowa"! Zamieścimy w „Głosie Czytelnika"